CENA 20 ZŁ

CZYTELNIK

Odra
tygodnik

WROCŁAW — KATOWICE

NUMER 45 (154) — KATOWICE, WROCŁAW, SZCZECIN, OLSZTYN, DNIA 7 LISTOPADA 1948 ROKU — ROK IV

POMOCE NAUKOWE … SZKOŁA HANDLU MORSKIEGO W GDYNI

JAROSŁAW ROGALA

Wyrywanka
Rzecz o Ziemi Bytowskiej

Na zachodnim krańcu, peryferycznie w stosunku do obszaru województwa, jest położona szczecińska stolica. Toteż trudno wybrać się na drugi koniec Zachodniego Pomorza, do tych powiatów, których przynależność do tego właśnie Wschodniego Pomorza wahała się w ciągu historii, jak wahała się i teraz po wojnie.

Zresztą stamtąd trzy razy dalej jest do Szczecina niż do Gdańska.

Natomiast od Szczecina nie jest tak daleko. Wyjeżdża się na wschód.

Mijamy wioski. Naprzód Gwda Wielka, oddzielona rzeczką tejże nazwy od Gwdy Małej. Na imieniu tej Gwdy-wody i obu wiosek potyka się i kołowacieje nasz język, a cóż dopiero cudzoziemca. Nie dziw, że Niemcy pododowali tu samogłosek.

Objeżdżamy od południa jezioro z pomorska zwane: Dołgie — Długie, rzeklibyśmy po naszemu.

Potem, prawie równolegle z kolejowym torem, szosa mierzy prosto na północ. To droga mało uczęszczana, tzw. II klasy, południowa. Zapewne tym właśnie okolicznościom zawdzięczamy, że nawierzchni w wojnie nie zdarły czołgi.

Kto to, ciekawym, wymyślił, aby drogę tę, na Białybór, wysadzić białymi z boru brzozami. Czy Niemiec znał sens nazwy miasteczka, czy też podsunął ktoś z ludowego podłoża najpospolitsze drzewa okolicy? A może samo się nasunęło z niewymagającej gleby, z charakteru ubogiego kraju?

Ostatnia wioska nazywa się: Biała, a w pobliżu, za Bielskim jeziorem,jest druga tej samej maści: Brzeźnica. Jeszcze dalej Brzeźno. Barwa kory od wieków musiała tu być uderzająca.

Białybór leży między podłużnymi jeziorkami. Miasteczko mocno ucierpiało od wojny. Nie zatrzymujemy się w jego ułomkach. Może fabryka beczek mogłaby być ciekawa? Beczki robi się głównie z dębowych lub olchowych deszczułek.

W dalszej drodze teren malowniczo faluje. Droga wije się. Serpentyny są nieoczekiwane, a pełne uroku. Któżby się spodziewał nagle takiej Szwajcarii. Falkowice — Mała Wilcza („Wołcza" powinno być, bo w o ł k mówili Pomorzanie!). Mkniemy linią niespokojnie żywą. Nowe, coraz to inne panoramy i raptem w dole, jak na dłoni, leży miłe, małe: Miastko. Miastko, jak gniazdko brzmi dla ucha... Małe gniazdko człowieka, wtulone w kotlinkę, w nazwie skromne i cichutkie, bez jakiejkolwiek pretensji do wyrośnięcia na metropolię.

Na tle szerokiego rozmachu widoku tylko tak może się przezwać drobne miastko-miasteczko, osiedle-cacko.

Archiwa grodzkie spaliły się w czasie wielkiego pożaru (rok 1715), który wyniknął nie z wojny, ale z jakichś małych powodów. Kronikom okolicznym też niczym w pamięć wpisać się nie mogło. Żadnej roli historycznej, żadnego znaku niezwykłości. Ot, sobie miastko, pieszczotliwie przezwane miejsce, w którym się zamieszkało, polubiło je i nigdy wdzięku jego nie zapomni. Przy dałoby się jednak to, ślicznie położone osiedle ubrać architekturą. Musi jednak być maleńka. W niczym nie wolno naruszyć uroku tego, że... tylko miastko, czarujące, skromne, jak rumieniec z zapadłej kotlinki.

Wyjeżdżamy dalej. Wciąż na północ. Trzeba uważać na rozdrożu, aby za Dretyniem nie zbłądzić na Trzcinno. Niema dalszych pokus dróg. Wciąż prawie prosta. A droga dalej brzozowobiała. Miejscami są młodsze, smuklejsze, gibsze. Pociągająca jest kobiecość ich wyrazu. Są lekko powyginane w różne strony. Choć korą jednakowe, choć rówieśniczki, bliźniaczkami nie są w żadnej parze. Przegięte są wdzięcznie, jakby w morową biel kory zatuliła się smukła dziewczęcość. Chyba brzozom podoba się rosnąć wzdłuż drogi. Brzoza nie daje się przymusić — rośnie przecie tylko gdzie chce!

Potok, który mijamy nagle — to Wieprz, taki młodszy brat tego z Lubelszczyzny. Może tę nazwę przeniesiono właśnie stamtąd?

W Trzebilinie migają tabliczki agencji pocztowej, zostaje jezioro. Trzebilino — wytrzebiono tu kiedyś bór, z racji jeziora. I żyć i siedzieć miło jest nad jeziorem właśnie: woda piękna jest, woda rybna i ptactwo na nim osiada.

W pobliżu musi być najpiękniejszy z pałaców Bismarcków, tych najgorszych w przeciw-polskim prusactwie. Mimo, że były tam wykopaliska po Wandach, groby skrzynkowe, wały, ślady osiedli, nie wstydzili się ci rozbójnicy Europy trwać na nie swoim. A może właśnie zwalczali nas, aby tu trwać?

Rozstajemy się z brzozami słupskiej szosy. Półokręgiem dążymy na Poborowo, wioskę powstałą p o b o r z e, po obaleniu drzew.

Ejże! To Sitno, to chyba mylna nazwa! Sitno bez sitowia, a jeziora ani śladu. Nikły strumyk, Rybiec, chyba nie był zarosły sitowiem. Czy nie słuszniejsza nazwa Cetyń, jak podaje wytrawny ks. Kozierowski?

Droga ściele się gładko. Gmina Kołcigłowy. Za chwilę przeskakujemy tor. Już do Barnowa parę minut.

Zanim w siedzibie administracji majątku państwowego dojrzeją z obiadem, oglądamy dwór. Pod tympanonem frontu herbem jest wypisane, że był Puttkamerów. Przypomina się mąż Maryli Wereszczakówny. Białością dwór ten wcale nie niemiecki, raczej istotnie jakby trącił Litwą Mickiewicza. Bieliznę w tych szafach niegdyś przekładano macierzanką. W tym dworze, mimo sprusaczenia Puttkammerów, został bratni polskiemu gust łagodny, zachodnio - europejska skłonność do mody francuskiej.

Zapewne herb Puttkammerów, podkomorzych książąt pomorskich, swoim pół-gryfem wskazuje na związek z nimi. Jak Podewils z Podwilcza, gdyby ku Polsce potoczyły się dzieje, zwałby się jeden Podwilczański, a ten Podkomorski.

Oglądam pół-gryfa, nasadzonego na ogon rybi i rodzi się domysł, czy nie z łowców ryb wyszli ci wierni księciu dworzanie. Wszyscy rycerze przecie na początku byli sukmanni, aż nastał jeden, co się wyniósł i wyniosłość przekazał następcom. Ponoć ostatni ze starego pokolenia v. Puttkammerów, zastany tu powrotem Polski, chciał zgłosić się na autochtona. Był nim zresztą — rozbiło się jednak o obszar ziemi.

Po korytarzach i pokojach pełno wieńców jelenich. Niektóre są wspaniałe. Znaczą łowność odwieczną także stare turze rogi, prarogi pratura. Tursko leży nie tak daleko — pod Dretyniem. Tam pewno powalono jakiegoś najwspanialszego! Łowy pewno były wysiłkiem wielu.

Drzwi wszystkich pokojów, jak zapowiada fasada, zdobi biel ze złotymi listewkami rococo. Salon ma też piec z epoki i niebywały lniany sufit. Można go doknąć końcem miotły, ugina się pod naciskiem. Lniany, lśniący namiot. To wszystko z czasów Starego Fryca, kiedy pruską dzikość łagodzono korespondencją z Voltaire'm i materialnym naświetlaniem się lampą Francuzów.

Przechadzamy się po parku. Jest i jawor stary, i dąb, i świerk. Zapuszczenie i mnóstwo starych drzew. Wśród tego sadzawka z wilgocią.

Oglądamy obecnie gospodarstwo, tworzone tu od początku z niczego. Rozgadaliśmy się z szwajcerem. Obora jest istotnie wspaniała. Chłopiec z Poznania, z ul. Piotra Wawrzyniaka, wypraktykował się przed wojną u hr. Potulickich w Wielkopolsce — teraz to cenny specjalista.

— A skąd ten tatuaż- — pytam.

— To z wojny — odpowiada mężczyzna krępy, o znacznych bicepsach, z którego twarzy bije dzielność i zdecydowanie.

— Na których pan był frontach?

Roztacza się opowieść. Mój szofer ożywia się. Okazuje się, że kombatanci: 3 Karpacka i świaższa 5 dywizja! Przerzucają się nazwami z półświata chyba. Tak samo musieli mówić ze sobą legioniści Dąbrowskiego, gdy — po wszystkim — spotkali się w kraju. Przyglądam się, słucham. Obaj stoją na tle ogromnego stadnika, którego ten szwajcer nazwał „Tobruk", jak wskazuje tabliczka. Jeden był szoferem przy dowództwie, drugi komandosem i instruktorem strzelców wyborowych.

— Bolonię można było wziąć bez takich strat — rezonują. — Przecież Ankona poszła gładko.

— Tak. Co tam luda padło...

— Ale jak nasze 3-tonówki szły na miny, co! — pada wspomnienie natarcia czołgów.

Roztacza się prosto cięte wspomnienie ostrzelanego komandosa. Niedarmo szkolono ich na wszystkie rodzaje broni, na wszystkie odmiany pojazdów i środki lokomocji. Ludzie wyłącznie młodzi, fachowcy na bunkry, granaty, umiejące ciąć druty kolczaste, zeskakiwać spod słońca spadochronem — elitarni zawodowcy zwyciężania. Nie darmo, szkoląc się w skradaniu pod płachtą ostrego strzelania, o 40 cm od ziemi w czasie ćwiczeń mając śmierć — komandosi polscy byli tak wspaniali.

Wspomnienia przycichają chwilą zdobycia Włoch. Równocześnie szpital w San Basilio. Nadal jednak z ust obu żołnierzy płyną melodyjne nazwy włoskie, czysto, z polska wymawiane. Ci dwaj poznaniacy znają kraj globetrotterów, jak swoje obecne Kołcigłowy. Rzeczka Potenza, Sonio — to jak nasze wiejskie strumyki. Neapol — jak Szamotuły. Marki win apenińskich, jak prostota rodzimej wódki. I wszystko to na srokatym tle ogromnego, nazwą zegzotyzowanego stadnika.

Budowali wszędzie przyszłą Polskę po swojemu, szczerze, po żołniersku. Chcieli, jak legioniści Dąbrowskiego, „z ziemi włoskiej do Polski". Wrócili inaczej, lecz z nakazu polskiego serca. Na ziemi, odzyskanej także i ich trudem, jeden najpiękniejszą sztukę obory nazywa imieniem zaciętej walki, drugi wozi ze sobą mapę „buta Europy" i powiada:

— U mnie wóz musi chodzić, bo ja mam szkołę frontową. Jak my tam uganiali, po tych górach i wąwozach! Ale tu, u nas nawet więcej trzeba zważać na naszych drogach.

— Hm, żal było wracać, co? — pytam człowieka, na którym został tatuaż dalekich podróży.

— O, nie. Zawsze co u siebie, to u siebie. Rodzinę mam tutaj. Teraz ja stąd, to anibym odszedł.

Łatwo nam wzrastać w każde Kołcigłowy!

A teraz drogą na Bytów. Ach, to tu jest ta wioska o ślicznej nazwie: Jutrzenka. Tylko Wiśnia, Struga może się z nią porównać!

Potem: Borzytuchom i Bytów. Ziemia słaba na płaskowzgórzu położona razem z sąsiednimi powiatami: kartuskim, kościerskim, chojnickim. Widuje się strzechy. Bytów — ledwie tu bytowano. W tej stronie jest nietylko Piaseczno, ale nawet Głodowo, a jak kogo stać było na goszczenie, to aż dobrą wieś nazwano: Ugoszcz.

I o tę to ziemię pokusili się Krzyżacy? Jeszcze stu lat nie siedzieli z łaski księcia Konrada Mazowieckiego, zaczęli od kasztelanii chełmińskiej — a sięgnęli aż tu. Przesmyk ku niemieckiej macierzy był ich marzeniem, tranzyt, jak przewód pokarmowy, konieczny Państwu w Prusach, jak autostrada Hitlera, o którą — na równi z Gdańskiem — doszło do n a s z e j wojny.

Zajeżdżamy przed największą budowlę Bytowa.

Oto ona: twierdza Krzyżactwa. Ogromna, wysoka murami, w kwadrat czterech baszt wrysowana. Ale patrzcie: od dołu cała z polnego kamienia! Choć na ich rozkaz, przecież po słowiańsku, po tutejszemu, przez miejscowych ludzi wznoszona tak, jak gródek polski, który był tu w pobliżu, a z którego dziś ani śladu.

Choć ponoć Bytów historycznie wspomniany jest po raz pierwszy w r. 1321, przecież Zakon przyznaje się do jego posiadania dopiero w 8—9 lat potem. Nabyli te okolice drogą kupna od rodu Święców. Prokuratoria bytowska była częścią gospodarstwa komturii tucholskiej. Nabytki Zakonu rosły w okolicy. Zakon miał pieniądze.

Po swojemu zreformowali tu miasto, według prawa chełmińskiego, potem (1397 r.) wznosić zaczęli tę warownię. Miasta nie ochraniano — tu ześrodkował się cały wysiłek. Sam wielki mistrz Konrad v. Jungingen dzieła tego dopełnił. Pięć lat trwała praca. Niedługa jednak radość. Po bitwie grunwaldzkiej, gdzie poległ brat Konrada, wielki mistrz Ul-

Jedna z wież zamkowych od północy

ryk, zamek zdobyli jagiełłowi rycerze, a dostał go potem Bogusław VIII, książę pomorski, który uchylił się od posiłkowania Krzyżaków.

Trwała potem dalej wyrywanka. Wrócili Krzyżacy. Polacy zdobyli twierdzę raz wtóry (w 1454 r.) i oddali ją księciu szczecińskiemu, tym razem temuż Erykowi II, którego piękna i wymowna żona posłowała do Kazimierza Jagiellończyka.

I znów twierdzę wyłudzili Krzyżacy, aż ją na dobre odjął im pokój toruński (1466 r.), kończący potęgę Zakonu. Bogusław X, syn Eryka, najsilniejsza ręka z władców Pomorza, dostał Bytów od króla polskiego zamiast sum posagowych danych mu za żonę, królowę Annę. Odtąd jest w ręku jej potomków aż zgasł ostatni: Bogusław XIV, nieszczęsny, bezpotomny Gryfita Pomorski (r. 1637).

Bytów chwilowo wraca do Polski i jest po pewnym czasie zajęty przez Szwedów. Oni to, odchodząc, wysadzili zamczysko i spustoszyli miasto. Po tę właśnie ruinę zgłosił się do Jana Kazimierza, króla nieszczęść narodowych, elektor brandenburski. Z Bytowa i Lęborka, wzamian za porzucenie koalicji szwedzkiej, Brandenburczyk stał się lennikiem Polski, co potwierdzono jeszcze w Bydgoszczy (r. 1657).

Odtąd w lennie, od I rozbioru w ścisłym posiadaniu trwała twierdza bytowska w roli pogranicznego wroga, wroga Polski, wyrosłego, jak wszystko pruskie, jak chwast, z polskiej ziemi. Ostatnio odrestaurowano ciężki ten Ordensburg na młodzieżowe gniazdo hitlerowskie. Tu mieli lęgnąć się dalsi...

(Dokończenie na stronie 3)

Typowy krajobraz Ziemi Bytowskiej, teren dawnego pogranicza. Obszar moren tylnich w okolicy Czarnej Dąbrowy.

Dyskusja o plastyce a rzeczywistość

Rys. Antoni Pelc.

EDMUND OSMAŃCZYK

Wysiedleńcy i uchodźcy niemieccy

W przedostatnim punkcie uchwał poczdamskich z dn. 2. 8. 1945 r. czytamy:

„Trzy rządy, rozważywszy sprawę pod każdym względem, uznają, że należy przedsięwziąć przesiedlenie do Niemiec ludności niemieckiej lub jej elementów pozostałych w Polsce, Czechosłowacji i na Węgrzech. Zgodne są one co do tego, że wszelkie przesiedlenia powinny odbywać się w sposób uporządkowany i ludzki.

„Wobec tego, że napływ wielkiej ilości Niemców do Niemiec zwiększyłby ciężar spoczywający już na władzach okupacyjnych, uważają one, że Sojusznicza Rada Kontroli powinna przede wszystkim zbadać zagadnienie ze szczególnym uwzględnieniem kwestii sprawiedliwego rozdzielenia tych Niemców pomiędzy różne strefy okupacji. Zgodnie z tym polecają one swym odnośnym przedstawicielom w Radzie Kontroli, żeby jak najrychlej nadesłali swym rządom sprawozdania o rozmiarach, w jakich dokonał się już powrót do Niemiec takich osób z Polski, Czechosłowacji i Węgier oraz żeby określili w przybliżeniu, w jakim czasie i w jakim tempie możnaby dokonać dalszych przesiedleń, uwzględniając obecne położenie w Niemczech."

20. 9. 1945 Sojusznicza Rada Kontroli w Proklamacji nr 2 do narodu niemieckiego wezwała wszystkich obywateli niemieckich, przebywających poza obszarem stref okupowanych do powrotu do Niemiec oraz stwierdziła, że „władze niemieckie winny wydać odpowiednie przepisy i poczynić odpowiednie przygotowania dla przyjęcia i utrzymania wszystkich niemieckich osób cywilnych, których ewakuacja z określonych krajów i obszarów zostanie zarządzona przez Przedstawicieli Aliantów."

Na swym dwunastym posiedzeniu, które odbyło się 20 listopada 1945 r. Sojusznicza Rada Kontroli zatwierdziła plan przesiedlenia ludności niemieckiej z Austrii, Czechosłowacji, Węgier i Polski do stref okupowanych Niemiec, a mianowicie:

1. Do strefy brytyjskiej i radzieckiej całą ludność niemiecką, mającą być wysiedloną z Polski (półtora miliona do strefy brytyjskiej i dwa miliony do strefy radzieckiej).

2. Do strefy amerykańskiej, radzieckiej i francuskiej całą ludność niemiecką, mającą być wysiedloną z Austrii, Czechosłowacji i Węgier (2,25 mil. do strefy ameryk., 0,75 mil. do strefy radzieckiej i 0,15 mil. do strefy francuskiej).

Plan powyższy przewidywał okres ewakuacji od grudnia 1945 do sierpnia 1946. W praktyce na skutek szeregu zahamowań ze strony głównodowodzących wojsk okupacyjnych w strefach zachodnich okres ewakuacji przedłużył się o z górą rok, mianowicie do jesieni 1947. Przy czym okazało się, że liczba 6,65 mil. Niemców przewidywana i dopuszczona przez Sojuszniczą Radę Kontroli nie została osiągnięta, ponieważ obliczona była zbyt wysoko, jako że do grudnia 1945 od grudnia 1944, kiedy rozpoczęła się wielka fala samowolnego uchodźctwa niemieckiego, olbrzymia większość Niemców opuściła swe dawne miejsce zamieszkania. Tak więc np. z Polski po listopadzie 1945 zostało wysiedlonych około 2,5 mil. Niemców, a nie przewidziane w planie 3,5. W sumie można przyjąć, że w drodze przymusowej w ramach planu Sojuszniczej Rady Kontroli zostało wysiedlonych z czterech wyżej wymienionych krajów w okresie grudzień 1945 — lipiec 1947 nie więcej niż 5 milionów Niemców, których możemy objąć nazwą „wysiedleńcy" (Ausgewiesene). W liczbie tej w małym procencie znajdują się tzw. podwójni przesiedleńcy, a więc ci Niemcy, którzy w latach 1939-41 zostali przesiedleni z Wołynia, krajów bałtyckich i Besarabii do Polski, a następnie w r. 1945, wzgl. 1946 uciekli, wzgl. zostali wysiedleni dalej na zachód. Liczba ich ogólna według statystyki Himmlera wynosiła 554.000. Przyjąwszy, co jest prawdopodobne, ze względu na strach tych ludzi przed zemstą prawowitych gospodarzy, że pozostało z nich 10%, reszta zaś uciekła wiosną 1945, otrzymamy do liczby 5 milionów „wyciedleńców", 0,5 mil. „podwójnych wysiedleńców" (Balten-, Wolhynien-Bessarabiendeutsche).

W ten sposób określiliśmy prawdopodobną liczbę wysiedleńców, przebywających dziś w Rzeszy na 5,5 milionów ludzi. Osobno trzeba z kolei ustalić liczbę „uchodźców", a więc tych Niemców, którzy przed grudniem 1945 uciekli z miejsc swego stałego dotąd zamieszkania.

Dr Kurt Kroymann, w wydanej w październiku 1947 (H. H. Noelke Verlag, Hamburg) pracy p. t. „Fluechtlinge ... Ausgewiesene! Neubuerger? — Die Struktur des Fluechtlingsstroms und ihre Konsequenzen" podaje następującą tabelę:

Kraj lub obszar	W/g spisu ludności z r.	Było Niemców	Szacunkowo w 1939	w 1945	Przesiedleni w 1939/41 do Rzeszy lub Polski
1. Na wsch. od Odry i Nysy	1939	8.847.000*)	8.847.000*)	8.710.000	—
2. Gdańsk	1929	408.000	405.000**)	344.000*)	—
3. Polska	1931	734.000	502.000	700.000***)	165.000
4. Czechosł.	1930	3.230.000	3.350.000	3.060.000	—
5. Węgry	1941	470.000	470.000	456.000	—
6. Estonia	1934	16.000			
7. Łotwa	1939	70.000	120.000	7.000	80.000
8. Litwa	1930	35.000			51.000
9. Besariabia, Bukowina, Dobrudża	1930	169.000	200.000	161.000	213.000
10. Jugosławia	—	—	45.000	45.000	45.000
11. Austria	—	—	—	150.000	—
Ogółem			13.934.000	13.723.000	554.000

*) Dr. Kroymann obniża liczbę mieszkańców Ziem Odzyskanych i Gdańska z 9.156.000 i 405.000, przez odjęcie od tych liczb garnizonów wojskowych i służby pracy, zaliczanych przez „Wirtschaft und Statistik" do ludności tych ziem.

**) W/g „Wirtschaft und Statitstik" Nr. 17/18 z 1939 r. września.

***) Cyfra jest wstawiona na podstawie jakiegoś, rzekomo w Polsce wydanego komunikatu o wysiedleni Niemców obywateli polskich z października 1946, w/g „Hamburger Echo" z 9. 11. 1946.

Analiza powyższej statystyki, pokrywającej się w zasadzie z ogłoszoną w marcu 1946 tabelą Institut fuer Weltwirschaft w Kilonii (13,9 milionów) pozwoli nam na przeprowadzenie kilku zasadniczych poprawek.

A więc ad 1. Od cyfry szacunkowej 8.710.000 Niemców w 1945 roku na Ziemiach Odzyskanych należy odjąć 1,2 mil. zweryfikowanych autochtonów, którzy pozostali w Polsce.

ad 2. Gdańsk na skutek oblężenia poniósł olbrzymie straty nie tylko w budowlach, ale i w ludziach. Przyjmując minimalny procent strat w czasie wojny 5%, musimy odjąć conajmniej 17.000.

ad 3. Liczba 700.000 „Volksdeutschów" w Polsce, nawet gdyby była prawdziwa, w żadnym wypadku nie jest równa liczbie wysiedlonych „Volksdeutschów". Jak wiadomo w myśl ustawodawstwa polskiego „Volksdeutsche" kategorii 3, 4, i 5 nie podlegali wysiedleniu, a tych była większość. Poza tym w stosunku do kategorii 2 również czynione były dość powszechnie wyjątki. Nie będzie zatem błędem jeśli do kategorii „uciekinierów", bądź „wysiedleńców", zaliczy się nie więcej niż 200.000 „Volksdeutschów". Sądzę jednak, że i ta cyfra jest zbyt wysoka. Opracowanie tego tematu przez kogoś kompetentnego byłoby ważnym przyczynkiem do dyskusji ze statystykami niemieckimi.

ad 10. Do liczby „uchodźców", względnie „nowych obywateli" nie można zaliczać w żadnym wypadku Niemców, wysiedlonych z Austrii. Są to bowiem poprostu urzędnicy i kupcy niemieccy, którzy znaleźli się w Austrii na skutek okupacji tego kraju przez Rzeszę.

(Dokończenie na stronie 2)

LUMIR CZIVRNY

Po wspólnej drodze

Kultura ludzkości jest jedna i niepodzielna. I nic na to nie poradzą próby podziału jej na bloki, zawarcia jej w kłamliwych hasłach kultur atlantyckich, zachodnich czy też jakichkolwiek innych. Natomiast współpraca kulturalna pomiędzy państwami albo istnieje, albo też nie — zależnie od tego, o jakie państwa w danym wypadku chodzi, kto nimi rządzi i kieruje, oraz na jakich zasadach. „Współpraca kulturalna" w stylu marshallistów przejawiała się na przykład w dumpingu skomercializowanej literatury amerykańskiej na ziemi Rabelais'ego, Racina, Wiktora Hugo — jak twierdzi Aragon — lub też w przywozie literatury filmowej, wycnowującej gangsterów; przy tym równocześnie nastąpiło zamykanie miejscowych firm wydawniczych — jak to stwierdził Amado. Tak wyglądają kontakty kulturalne zdobywcy z podbitym.

Prawdziwa współpraca kulturalna pomiędzy państwami istnieje tylko tam, gdzie opiera się ona o równorzędną i równorzędną współpracę polityczną i gospodarczą. Przykładem tego rodzaju współdziałania kulturalnego wniosła dopiero do historii współczesnej postawa Związku Radzieckiego i demokracji ludowych. Stało się to chociażby dlatego, że postawa ta polega na wspólnych koncepcjach obrony oraz upowszechnienia największych wartości kulturalnych. Stąd też — tak jak w ludowych demokracjach zagadnienie siły rozwiązywane jest pod kątem szczęścia narodu, to jest ludu pracującego, kierowanego przez klasę robotniczą — i problem współpracy kulturalnej pomiędzy państwami demokracji ludowej coraz wyraźniej staje się zagadnieniem całych narodów, a nie tylko ciasnych grup specjalistów. Wszystkie zasadnicze i nowe wartości kulturalne rozwijają się z centralnych węzłów ruchów i walk szerokich mas.

Przykładem rozwoju współpracy kulturalnej pomiędzy narodami są kontakty kulturalne polsko-czechosłowackie. Istniały one przez stulecia, lecz intensywność ich i płodność zależna była zawsze od tego, na jakim etapie historycznym znajdowały się oba bratnie narody. Znamiennym tego przykładem są ostatnie trzy lata. W okresie pomiędzy pierwszą a drugą wojną światową wszystkie oficjalne przejawy życia kulturalnego zwrócone były nie nawzajem ku sobie, lecz w kierunku na zachód. Trzeba było dopiero nowej Polski i nowej Czechosłowacji, aby nasze kultury zetknęły się w prawdziwej współpracy.

W pierwszych dniach września obradowała w Pradze mieszana polsko-czechosłowacka komisja kulturalna: przeprowadzała kontrolę tego, co już — zgodnie z planem na rok bieżący — zostało wykonane i przygotowała plan na rok następny. Rzecz zupełnie zrozumiała, że obrady odbywały się w atmosferze pełnej jednomyślności i wielkiej serdeczności: już bowiem można było oprzeć się u nas o wyniki lutego i o dodatnie skutki rozwoju sił postępowych w obu krajach. Ale właśnie w związku z tym znacznie ważniejsze jest drugie zagadnienie: jak został plan wykonany i jakie są dotychczasowe w tej mierze doświadczenia. Owszem plan został wykonany w znacznej swojej części, chociaż rok nie skończył się jeszcze, a w niektórych gałęziach został nawet przekroczony. Ale jest rzeczą słuszną, jak to już nadmieniliśmy w ostatnim numerze „Tvorby", raczej zbadać ideową treść wykonanych prac, a nie tylko mechanicznie podsumować poszczególne drobne rezultaty.

Plan na rok 1948 był do pewnego stopnia eksperymentalny; musimy tu zaznaczyć, że ten właśnie jego rys był w niektórych wypadkach rozumiany jako pewna dowolność w bezideowości. A przyczyny jej i zasięg najlepiej wyjdą na jaw, wykazane na całym szeregu umów w zakresie naszego i polskiego życia kulturalnego. Wielu pracowników kulturalnych uważało istnienie umów tego rodzaju za okazję do wygodnego wykręcania się od kwestii problemowych. Ba, nawet więcej: ich istnienie utwierdza ich nawet w omyłkach i błędach. Często bowiem nie tylko urzędy, ale nawet organizacje kulturalne i instytucje zagadnienie współpracy kulturalnej pojmują mechanicznie, jedynie jako zwyczajną wymianę wartości.

Zagadnienia te zostały wzięte pod uwagę przy przygotowywaniu planu współpracy na rok przyszły. Komisja mieszana starała się skonkretyzować poszczególne cele i zadania, z drugiej zaś strony współpracę kulturalną pocha współpracy. Nie przyczyniły się wcale do wzmocnienia dodatnich tendencji w plastyce. Dlatego też w planie na rok przyszły figuruje wymiana wystaw retrospektywnych, które dadzą pogląd na postępową linię rozwojową i przyczynią się do prawdziwego poznania specyficznych dróg sztuk plastyki obu krajów. Prócz tego oczywiście będzie popierana i wymiana wystaw produkcji i pracy twórczości współczesnej. Znaszą odpowiednie organizacje znacznie większą niż dotąd poświęcić uwagę i przejść od wymiany żywiołowej do wymiany o celach konkretnych z nastawieniem ideowym. Dalsze poważne zadania ma prasa, radio i film — dziedziny, w których współpraca rozwija się wspaniale. Tu należało by tylko pójść trochę dalej w współpracy bezpośredniej, na przykład w dziedzinie prasy przez wymianę czynnych redaktorów pokrewnych sobie ideowo pism. Bardzo ważne są tu także Towarzystwa Przyjaźni — dotychczasowa jednakże ich działalność bynajmniej nie odpowiada tym potrzebom. Zgodnie z zarysowującą się identycznie w obu narodach inicjatywą, plan wytyczył im następujące cele: wyjście z ram ciasnych kręgów, sięgnąć organizacyjnie do mas, zwłaszcza dotrzeć do robotników i na wieś, pracować planowo w ścisłym kontakcie ze społeczeństwem polskim i czechosłowackim.

Wielkim impulsem nie tylko dla współpracy kulturalnej, ale dla wzajemnej współpracy w ogóle, będzie tydzień przyjaźni, potężna, masowa akcja, która zostanie przeprowadzona w obu krajach w rocznicę podpisania umowy o współpracy.

W pracach około planu zostały uzgodnione także warunki, które zapewnią lepszą koordynację i przegląd kontaktów kulturalnych oraz współpracy, które czasami w zasięgu swym powtarzają się, czasami zaś zdradzają braki ideologiczne i techniczne.

Najlepiej nawet przygotowany plan nie wystarczy jednak, jeżeli nie będzie on wykonywany w tym duchu, w jakim została stworzona jego koncepcja. Trzeba będzie w ciągu całego następnego roku bacznie śledzić bieg spraw od tej zwłaszcza strony, na wszystkich odcinkach i wszystkich etapach. Zadanie to winny wziąć na siebie najszersze kadry naszego ludu, nie tylko fachowcy w poszczególnych działach prac kulturalnych. Nie chodzi tu bowiem tylko o to, że nasza współpraca kulturalna ma wielkie znaczenie dla życia obu naszych krajów. Kultura demokracji ludowych ma prócz tego własne swe zadania w stosunku do całego świata — jak się to okazało na przykład na Kongresie Wrocławskim w Polsce lub na Konferencji Pracowników Nauki w Dobrzyszu, u nas. Zadanie to — to nie tylko dotrzymać kroku w marszu kultury postępu na całym świecie, ale stać się przodownikiem tego marszu. A warunki po temu istnieją. Życie kulturalne obu naszych krajów bazuje na wyższych przesłankach natury społecznej i ma możliwości posuwania się na tej podstawie do tych celów, które osiągnęła i osiąga wielka kultura sowiecka. Duma i odpowiedzialność będą na pewno i na tym odcinku motorem współpracy kulturalnej polsko-czechosłowackiej, której specjalnym podłożem jest zarówno pokrewieństwo pierwiastków wewnętrznych naszych kultur, jak i stale pogłębiające się współdziałanie na odcinkach: politycznym i gospodarczym.

Lumir Czivrny
Przełożyła **Jadwiga Bułakowska**

JAN BARANOWICZ

Chłopska pieśń o życie

Już mi sięga do kolan wzrostem
już nastrosza wąsate kłoski
żyto urodziwe, żyto radosne,
szmaragdowy pierścień na palcu wioski.

Już się nocą rosa wspina po źdźbłach,
rosa nocą a południem biedronki —
A wieczorem moja nadzieja zgrzebna,
zielona, zieleńsza od łąki.

Codzień wypędzam głodne oczy
jak na wykę niecierpliwe buhaje,
Potem opowiadam kosom tęskniącym,
że już coraz bliżej, że doczekają — —

Mówią, że nie nadążam. Któż Rzeczy
Pospolitej waży trud bystrzej? —
Wspólnie z łanem śpiewam na wietrze
hymn sytości, hymn najojczystszy.

U schyłku żniw

Gdzie oczy sięgną, brunatne jak pięści
pogorzelisko i ścierń przykro chrzęści.
Żyto, pszenica i jęczmień wesoły
drzemią w sąsiekach brzuchatej stodoły.
Głodna kosiarka pod ostrze zagania
schylonych owsów dorodne stajania,
jak jastrząb albo wiatrak w skrzydła tłukąc.

Dziewczęta, rozbrat zawarłszy z nauką,
na żwirze toru, jak świetliste smugi
chwieją się śmiesznie w tańcu boogie-woogie.
Ale na polu przywierają do plec
brudne koszule i pot spływa w krople.
W rękach migocą grabie gospodarne.
Dźwigają widły mierzwę, pełną ziarna.
Ciągnik, stękając od nadmiaru pracy,
rżysko na poplon pługami przewraca.

Na chudym skrawie trawy przy żytnisku
biedota płachtę rozsłała w boisko.
Ledwo z pnia zdjęte zboże młóci w słonku,
łomotem cepów płosząc tryl skowronków.

Po koleistej wardze polnej drogi
toczą się wozy, jak ruchome stogi.
Szorstkie hamulce gryzą w zawziętości
grzbiety kół gładkich, miarkując zły pośpiech.
Na trakt podmiejski kolebią się. trzeszcząc,
strząsając na bruk kłosy, źdźbła i świerszcze.

W klombach will co noc cykać będą potem
polni grajkowie swój śpiew i tęsknotę
do niw zgubionych i będą szeleścić
wiejskiego lata echem w uszach mieszczan.

WALERIAN LACHNITT

Teatr szczeciński na zakręcie

W Szczecinie żyje się szybko. Mimo to zaskoczyła nas nagła a niespodziewana zmiana w kierownictwie teatru. Zamyka ona drugi — po dyrekcji Skąpskiego — okres jego istnienia. Jeszcze nie tak dawno mówiło się wiele o nadzorze, jaki nad Teatrem Polskim sprawować miał dyr. Rodziewicz, o upaństwowieniu teatru, prasa podawała plany repertuarowe dyr. Czosnowskiego — wtem bomba pękła. Tuż przed premierą drugiej w nowym sezonie sztuki — Świrszczyńskiej „Strzały na ulicy Długiej" — dowiedzieliśmy się o rezygnacji dotychczasowego dyrektora i mianowaniu na jego miejsce Zbyszka Sawana - Nowakowskiego. Zrobił się szum, w którym z lekkim sercem do porządku dziennego przeszło się nad sprawą remontu sali teatralnej i trzymiesięcznym okresem, dzielącym nas od pierwszej premiery nowej dyreckji. Tymczasem w teatrze panuje interregnum, a władzę sprawuje komisaryczny zarząd z naczelnikiem Wojewódzkiego Wydziału Kultury i Sztuki na czele.

Jedni przyznają teatrowi szczecińskiemu „duży wkład w dorobek kulturalny naszego miasta", drudzy, zapominając co pisali przed rokiem, twierdzą, że jego teatr „był artystycznie i społecznie teatrem szkodliwym." Spróbujmy więc podsumować tę kartę teatru szczecińskiego.

Teatr „Komedia Muzyczna", potem Teatr Polski, w ciągu dwóch sezonów wystawił 36 premier, w tym dwie rewie. Kiedy przeglądam repertuar tego okresu, stwierdzić muszę jego przypadkowość, brak tzw. „linii". Repertuar pierwszego sezonu obciążony tradycjami przywiezionymi ze Lwowa, skąd zespół repatriował się, po sławnej już z osławionego „procesu" „Przeprowadzce" stanowiły: „Rozkoszna dziewczyna", „Gałganek", „Moja siostra i ja" i „Szkarłatne róże". Nic dziwnego, że rozpoczęły się ataki na teatr. Po krótkiej poprawie („Zemsta", „Mariusz", „Panna Maliczewska" i „Mąż pognębiony") znów jak z rogu obfitości posypały się: „Subretka", „Niebieski lis", „Moja żona Penelopa" i „Milionerka". Tego fatalnego sezonu nie uratowały na tydzień przed jego zakończeniem wystawione „Dwa Teatry". Na tym przykładzie widać dowodnie, że dyrekcja ani za grosz nie posiadała wyczucia strategii repertuarowej. „Dwa Teatry" wystawiła „na stracenie", ot dla zatkania ujadających paszcz prasy, a tymczasem wznowione w następnym sezonie szły jeszcze 13 razy, ilość — jak na Szczecin — znaczną. W tym pierwszym sezonie przedstawienia oglądało 55.191 osób.

Drugi sezon zaczął się pod pomyślniejszymi auspicjami. Na 19 premier przypadło 8 polskich (w poprzednim sezonie 5 na 15). Na 355 przedstawieniach obecnych było 107.065 widzów, w tym 45.166 na bilety normalne. Większość sztuk, którymi Teatr Polski może bronić pozytywnej oceny swej roli kulturalnej a więc „Rozdroże miłości" (17 przedstawień), „Moralność pani Dulskiej" (13), „Głupi Jakub" (10), „Ożenek" (8) i „Mąż i żona" (20) — wystawiono właśnie w sezonie 1947/48. Co prawda nieprzychylni teatrowi, wartość ich podają w wątpliwość, ale to już chyba dlatego, by potwierdzić przysłowie, że nikt nie jest prorokiem we własnym kraju. Wiadomo bowiem przecież, że z repertuarem teatralnym w ogóle nie jest dobrze, a ponieważ Szczecin nie jest Warszawą czy Florencją, więc rozdzieranie szat nad repertuarem teatru prowincjonalnego winno odbywać się ostrożnie i po namyśle. Teatr Polski — jedyny teatr zawodowy w Szczecinie — nie może mieć aspiracji teatru stołecznego, musi bowiem — jak to słusznie podkreślał Gil — „dawać publiczności w zmniejszonym zakresie to, co dają mieszkańcom Poznania wszystkie teatry poznańskie, widzowi krakowskiemu — wszystkie teatry krakowskie". Pod tym kątem widzenia patrząc na repertuar znajdą w nim swe uzasadnienie i „Ojczyzna na trasie" (15 przedstawień) i „Przyjaciel nadejdzie wieczorem" (19 — grany w Bielsku, Cieszynie, Kaliszu, Kielcach i Olsztynie) i „Sprawa Moniki" (15) i „Droga do źródeł", „Człowiek za „burtą", a nawet może „Ładna historia" (24 — grana w Kaliszu, Wrocławiu, Bielsku i Cieszynie) i „Pani Prezesowa" (18 — wystawiona w Gorzowie, Kielcach, Sosnowcu i Wrocławiu). Nie chodzi o to, by tymi naśladownictwami innych scen gloryfikować Teatr Polski, ale wykazać, że nie można repertuaru ubiegłego sezonu i jego wykonania — jak to robią niektórzy — przekreślać na krzyż, klasyfikując je lapidarnym a dosadnym wyrażeniem „szmira". Trzeba dodać, że poziom przedstawień wybitnie podniósł się. Od rewii „Na falach Odry" do „Dwóch teatrów", „Rozdroża miłości" czy „Wieczoru Sartre'owskiego" postęp ten jest widoczny. Pewnie — byłoby lepiej, gdyby zdołano zatrzymać w zespole Śliwińskiego, Karczewskiego czy Młodnickiego lub zastąpić ich równorzędnymi aktorami; gdyby Lotar jako reżyser nie był osamotniony; gdyby w zespole było więcej wybitniejszych artystów; gdyby Rajkowskiemu dano pełne, takie jakich teatr wymaga, możliwości budowania dekoracji scenicznych. Tego wszystkiego nie było.

Nie sposób taić braków w scenicznym przygotowaniu przedstawień, głównie spowodowanych krótkimi okresami przeznaczonymi na próby, brakiem reżysera i kierownika literackiego. Nie sposób retuszować ujemnego wpływu „Prymatu faworytów" zarówno na kompletowanie zespołu jak i na dobór utworów.

Na skromnych możliwościach teatru najmocniej zaciążyły — finanse. Ich zły stan nie dodawał atrakcyjności teatrowi nieatrakcyjnego kulturalnie Szczecina. Skoro doń nie chcieli przenosić się literaci, dlaczegoż bardziej pionierscy mieliby być nastawieni aktorzy? Choćby nawet groziło im „zniknięcie w kancelarii dyrektora" na lat parę (jak to sobie opowiadamy w pewnym żarcie teatralnym), zawsze jednak pozostawali w Warszawie, a nie w „jakimś tam" Szczecinie. Do tego, że od Szczecina stronili artyści, przyczyniło się nie tylko ubóstwo teatralne dyrektora. Zawinił tu także stosunek widowni do teatru, a raczej tych, którzy za widownię powinni czuć się odpowiedzialni. Krytyka nie była na ogół poparta życzliwością, organizacja widowni zawodziła, nikt nie pomyślał o przygotowaniu publiczności do uczęszczania do teatru. Jeśli się zważy, że związki zawodowe, które winny teatrowi zapewnić stałego i najwdzięczniejszego widza, wypełniały salę w 99% na „Krawcu w zamku", w 94% na „Dniu bez kłamstwa", na „Rozdrożu miłości" tylko 56%, na „Głupim Jakubie" zaś ledwie w 14% — nie dziwmy się, że teatr skazany na własne możliwości finansowe raz po raz wpadał w potrzask małowartościowego repertuaru. Pomoc finansowa nadeszła za późno. Zamiast od pierwszej chwili umożliwić teatrowi racjonalne wychowanie widza, tracono czas na wymyślanie tabelek „podatku od widowisk" zależnie od powagi i morału sztauki! Nawet otwarcie trzeciego sezonu — premiera „Grubych ryb" — zapoczątkowane zostało inauguracyjnym zajęciem premierowej kasy! Z takim poparciem nie spotkał się chyba żaden teatr w Polsce. Nic w Szczecinie nie słyszano n. p. o Miejskiej Radzie Narodowej w Kłodzku, która sama utrzymuje teatr.

A przecież sukcesy Teatru Polskiego w Bydgoszczy, Poznaniu i Krakowie dowodzą, że ten „prowincjonalny teatr" stać było na poziom, którego nie potrzebował się wstydzić. Wyjazdy w teren do 12 miejscowości województwa śmiało mogą być poczytywane za dowód dobrych chęci teatru. A wreszcie, jeśli — co skłonny jestem przyznać — kierownictwo wykazało niezdecydowaną i karygodną miękkość, należało wesprzeć je radą, otoczyć pomocą, nawet zmusić do zmiany polityki teatralnej — a nie przekreślać teraz triumfalnie ex post pracy dwóch najcięższych, bo pierwszych lat, teatru w Szczecinie. Mniej epokowych odkryć, a więcej obiektywizmu!

Zapowiada się obecnie teatr w całym tego słowa znaczeniu. Ale teatr to nie tylko dyrektor, administrator, reżyser, dekorator, autor, technik od świateł i drugi od kurtyny. To także recenzent, radny miejski, aktywista kulturalny Związku Zawodowego, nauczyciel, ci wszyscy którzy mają być współtwórcami oddźwięku sceny na widowni. Bez tego inaugurująca nowy okres teatru szczecińskiego szekspirowska komedia „Wiele hałasu o nic" może nabrać symbolicznego znaczenia... A tego należy uniknąć.

Walerian Lachnitt

Wydawnictwo ZZLP
oddział w Katowicach
»ARKUSZ ŚLĄSKI«
Zbiór „Arkuszy Śląskich" stanowi doskonałą antologię literatury śląskiej.
Do nabycia w lokalu ZZLP Katowice, 3-go Maja 36 a.

Walka o szczyty

*Do wartościowych pozycji o tematyce okupacyjnej — należy debiut Włodzimierza Wnuka *).*

Temat wdzięczny, acz trudny: górale w czasie wojny. Przybyła więc jeszcze jedna książka półce tatrzańskiej. Problem Skalnego Podhala był już na przestrzeni półwiecza tematem najrozmaitszych publikacji o bardzo różnych wydźwiękach społecznych, kulturalnych i gospodarczych. Wśród autorów spotykamy nazwiska wielkie i mało lub wcale nieznane, nazwiska literatów, ekonomistów, lekarzy, muzykologów, plastyków, dziennikarzy i naukowców. Przyczyną tego zjawiska jest bez wątpienia piękno tatrzańskiego świata, krzyżujące się wciąż z dziejami dolskiego człowieka. Tu bowiem, od 1873 roku przeciwstawia się bezustannie miasto — wsi, ceper — góralowi, artysta — kupcowi, pieniądz — pięknu, styl — bezstylowości, zdrowie — chorobom, wstyd — bezwstydowi. Zwycięża oczywiście kultura inteligencka, urbanistyczna, zwycięża proces niwelacyjny, upodabniający wartości indywidualne do wartości ogólnych. Walka o postęp jest najczęściej jednoznaczna. Nowe formy uśmiercają formy stare, nie pytając o wartość lub społeczną przydatność tych ostatnich. Jaskrawym tego dowodem u nas jest właśnie kultura ludowa, zmierzająca — w swych niedobitkach — do muzeów. Etnografa, socjologa i historyka sztuki interesuje w tym względzie przede wszystkim Podhale, region, reprezentujący największe wartości indywidualne.

Kulturę ludową tworzył człowiek ukształcony przez przyrodę. Niedostępność terenu, ostry klimat, żywioły nieba i ziemi, a nade wszystko dookolne piękno — wykształciły charakterystyczne cechy górala: poczucie „ślebody", honorność, siłę fizyczną, dużą inteligencję i zdolności artystyczne. Dowodnym świadectwem tego są nie tylko stwierdzenia Staszica, Matlakowskiego, Witkiewicza, Orkana, Hoesicka czy Pawlikowskiego, lecz i fakty, z którymi spotykamy się jeszcze dziś na Skalnym Podhalu. Niwelacja społeczna i kulturalna starła się tutaj bardzo ostro z indywidualnym wyrazem życia, opóźniła dość znacznie proces szarzenia.

Wojna w 1939 roku zastała tę krainę w specjalnie silnym okresie „zceprzania się". Sprzyjały temu znakomicie warunki. Z jednej strony olbrzymi ruch turystyczno-letniskowy oraz fatalna polityka regionalna i oświatowa, a z drugiej — stałe „poklepywanie" górala, żywcem bez mała przeniesione z krakowskiego „Wesela" Wyspiańskiego. Istotne natomiast wartości tubylca były albo pomijane, albo wręcz niweczone.

Mimo to wszystko jednak możemy stwierdzić, że ten właśnie góral spisał się w czasie okupacji honornie. Głośno to trzeba dziś powiedzieć, gdy wciąż jeszcze kursuje plotka i fatalna o góralach opinia. Źródłem jej jest oczywiście sławny „goralenvolk" i jeszcze sławniejszy „cisorz" Krzeptowski, składający hołdy Frankowi. Było to zjawisko całkowicie odosobione, a tym samym głośne i żywo komentowane.

Obalenie legendy o „zdradzie" górali jest zasługą książki Wnuka. W trzech rozdziałach noszących wspólny tytuł „W cieniu niesławy", autor zgromadził wiele faktów i liczb, zbijających bez reszty zarzut zdrady. Na ich poparcie przytacza wiele świadectw, m. in. następujące słowa Walerego Goetla, wypowiedziane na sądowej „rozprawie góralskiej" w listopadzie 1948 r.: „Akcja Goralenvolku była wspólnym dziełem pewnych zdeprawowanych kół inteligencji ceperskiej i równie zdeprawowanych kół góralskich". Słowa te dobrze ilustrują wyżej zamieszczoną uwagę o niwelacji międzywojennej. W roku 1942, przybyły do Zakopanego Adolf Nowaczyński stwierdza: „Wyjeżdżam stąd całkowicie uspokojony, nie ma bowiem na Podhalu żadnej sprawy „góralskiej", jest tylko sprawka paru degeneratów i ich nielicznych popleczników". A prokurator w czasie owej „rozprawy góralskiej", po ukończeniu przewodu sądowego stwierdza: „Podhale zdało egzamin z polskości". Statystyka zaś wykazuje, że mimo niesłychanego terroru okupanta, stosunek wydanych kart polskich do kart „goralenvolku" w czysto góralskich gminach Skalnego Podhala wynosił jak 95:5. Statystyka ta mówi sama za siebie.

W następnych rozdziałach: „W trudzie oporu", „W krzyżu cierpienia" i „W ogniu walki", Wnuk przedstawia udział górali w życiu podziemnym, w walkach na wszystkich frontach, oraz krwawe pacyfikacje, przeprowadzane przez okupanta po wsiach. Do najciekawszych rozdziałów należy „Chochołów — wieś powstańców". Wieś ta, sławna rokiem 1846, urosła do jeszcze większej sławy dzięki wyjątkowej postawie mieszkańców wobec niemieckiej dziczy, mającej na nich specjalne oko. Powtarzam za Wnukiem: „Z początkiem roku 1941 aresztowało gestapo prawnuka powstańca 1846 roku, Józefa Kojsa wraz z synem i córką za współdziałanie z partyzantami. Stary Kojs tak powiedział do swych towarzyszy w celi: „Mój pradziadek był w roku 1846 w kryminale na Spielbergu. Jakoż by to było, coby teraz w niemieckim kryminole Kojsa brakowało? Jo stąd nie wyjde, jo tu umre, ale wy wyjdziecie. Powiedzcie, ze stary Kojs umar tu za Polske".

Ale dajmy pokój cytatom. Czytelnik sam odnajdzie w książce sprawy nieznane, a piękne.

Zasadniczym osiągnięciem Wnuka jest to, że wskazuje on drogę ku przyszłości. Jasnym staje się po przeczytaniu tych kart, że musi rozegrać się walka o szczyty, walka o prawdziwy pokój — prawdziwego człowieka. Praca inteligenta na Skalnym Podhalu winna obrać metody, które z jednej strony odbrązowią przeszłość, zedrą grubą pleśń „góralomaństwa" i ukażą istotną wartość górala dla służby Polsce, a z drugiej — uprzytomnić mu jego ważką rolę w społecznych i kulturalnych dziejach Polski. Rolę tę Podhale spełniać może poprzez właściwe użytkowanie swoich wysokich wartości duchowych i materialnych. Wartości tych nie brakuje. Uaktywnienie tatrzańskiego regionu we wszystkich dziedzinach współczesnego życia jest zadaniem trudnym, bardzo delikatnym, ale koniecznym.

Oto wydźwięk udanego debiutu autora, syna ziemi Sabały, Klimka Bachledy, Wojciecha Brzegi. Może uważny czytelnik dostrzeże błędy. Błędy artystyczne, formalne, konstrukcyjne. Styl miejscami surowy. Pióro zbyt reporterskie. Czasem zdarzy się niepotrzebna tkliwość, łatwa liryka, przechodząca nagle w zbytni patos. Niewątpliwie: przy surowej samokrytyce można było takich błędów uniknąć, skreślić kilka okresów, przebudować zdania i poskąpić słowom. Ale jest to właściwie uwaga zdawkowa, nieistotna wobec optymizmu, jaki budzi się u współczesnego, zmęczonego „niespokojnym pokojem" czytelnika, po przeczytaniu tej rozumem i sercem pisanej książki.

TADEUSZ STAICH

*) Włodzimierz Wnuk „Walka podziemna na szczytach". Wydawnictwo Zachodnie, Poznań 1948, str. 171.

Wysiedleńcy i uchodźcy niemieccy

(Dokończenie ze str. 1)

Oznacza to, że przypuszczalna liczba „nowych obywateli" w Rzeszy powinna wynosić:

Z Polski:		8.037.000
z Ziem Odz.	7.510.000	
z Gdańska	327.000	
Volksdeutsch.	200.000	
Z Czechosł.	3.060.000	3.060.000
„przesiedleńców" z r. 1939/41	554.000	554.000
Ogółem	11.651.000	11.651.000
Mniej	5.000.000 *)	
Ogółem	6.651.000	

Jednakże ta ostatnia cyfra okazuje się zbyt wysoka, bowiem 25 lipca 1947 roku na konfrencji ministrów dla spraw uciekinierów w Bad Segeberg stwierdzono, że liczba ogólna wysiedlonych i uchodźców wynosi 10.068.000 w czterech strefach okupacyjnych (6.518.000 z terenów na wschód od Odry i Nysy oraz 3.550.000 z innych krajów). Jednocześnie twierdzono, że w Polsce znajduje się jeszcze 400.000, w Czechosłowacji 200.000, na Węgrzech 200.000 i w Jugosławii i Austrii 100.000.

W rzeczywistości i ta cyfra 10 milionów jest przesadzona. — Wszystkie dotychczasowe statystyki obejmują bowiem również czasowych mieszkańców Ziem Odzyskanych, których liczba była bardzo poważna. Mam tu na myśli tych Niemców, którzy zbombardowani w latach 1942/43 zostali ewakuowani na Śląsk lub Pomorze, czy do Sudetów, względnie przeniesieni tam wraz z fabrykami, a w r. 1944/45 uciekli z powrotem na zochód i dziś korzystają z przywilejów „uchodźców ze wschodu". Drugim momentem mniejszej liczby uchodźców są niewątpliwie wysokie straty wojenne i narodowościowe, jakie poniosła niemczyzna wschodnia i pół-wschodnia. Straty wojenne niewątpliwie przekraczały tam normalny dla całej Rzeszy procent.

Straty narodowościowe wyraziły się wyrzeczeniem narodowości niemieckiej przez setki tysięcy „Volksdeutschów" różnych kategorii, zarówno w Polsce, jak w Jugosławii, na Węgrzech czy w Czechosłowacji. Znane są fakty nawet prób powrotu Niemców bałtyckich, czy rumuńskich do miejsca swego zamieszkania. Ogłoszona w listopadzie 1946 oficjalna statystyka min. spraw wewn. Czechosłowacji stwierdza, że wysiedlono ogółem 2.165.000 Niemców i na tym wysiedlenia zakończono. Cyfra ta stoi w sprzeczności z liczbą dr Kroymanna.

Nieokreśloność rodzaju „uciekinierów" powoduje, że w żadnym oficjalnym raporcie głównodowodzących wojsk okupacyjnych w Niemczech nie znajdują się statystyki wysiedleńców. Tak więc na 18 tomów „Statistical Annex", wydanych od 1946 do września 1948 przez Zarząd Wojskowy Amerykański była dotąd tylko jedna tabela wysiedleńców niemieckich z Sudetów i z Węgier do strefy amerykańskiej w czasie od stycznia 1946 do lipca 1947. Te ułamkowe sprawdzone liczby nie dają jednak żadnego oficjalnego obrazu całości.

Wydaje się, że przyjęcie cyfry 8—9 milionów wysiedleńców, to jest około 14% ogółu ludności Niemiec okupowanych jest bardziej bliskie prawdy, niż fantastyczne cyfry (od 10 do 15 milionów), którymi żongluje prasa niemiecka dla celów propagandowych. Ostateczną odpowiedź da nowy spis ludności, przewidziany na rok 1950.

Edmund Osmańczyk

*) „wysiedlonych" za zgodą Sojuszniczej Rady Kontroli od grudnia 1945 do lipca 1947.

Z teki słowackiej

FRANCISZEK HECZKO

Wiersz polski

Ziemia to jest swobodna
i słowo dziwotworne
miał to być cyntorin
a jest to pole orne.

na które bryzga krew
z rany z której zbiegła
ogniem i mieczem!
Ach! Polska Niepodległa

wylewaj z siebie
tak jak fale morze
dziękczynne Te Deum
z dzwonów na Jasnej Górze!

Pod młotem ojców
rozdarły się i pękły
krzyżackie habity
i pancerne kukły

Ach! zakraż gołębico
nad tą ziemią drogą
niech chłopi sieją zboże
nad grobami swych wrogów

gdzie młyn zmiele kąkol
i wodą spłucze gnoje...
Ojcze nasz któryś jest...
Święć się imię Twoje!

Wy polskie dzieje
przy czarnych spaleniskach
zakwaście nowy chleb
na malowanych miskach

wy polscy kowale
tak — o żelazo bijcie:
jak złote podkowy
wykujcie polskie życie!

Quo vadis Domine?
Policzyć swoje dzieci:
te dzieci nieszczęsne
te wierne polskie dzieci...

Ze słowackiego spolszczył
Józef Bojar

WISARION BIELIŃSKI

Myśli wybrane

Literatura jest sumieniem narodu: w niej odzwierciedla się jego duch i życie...

*

Rozmyślając nad literaturą jakiegokolwiek narodu niemożliwością jest oddzielić jej rozwój od rozwoju społeczeństwa. Odnosi się to szczególnie do literatury rosyjskiej.

Umierający Bieliński dowiaduje się o wezwaniu go na żandarmerię. Tylko śmierć uwolniła Bielińskiego od chłodu Petropawlowskich kazamat.

Rys. W. Lebiedew.

*

Jestem głęboko przekonany, że naród albo społeczeństwo jest najlepszym, najbardziej nieomylnym krytykiem...

*

Puszkin należał do owych twórczych geniuszów, do owych wielkich, historycznych natur, które pracując dla teraźniejszości przygotowywały przyszłość i już z tego powodu nie należą tylko do przeszłości.

*

Jedność istoty idei i formy jest w sztuce tak wielka, że ani fałszywa idea nie chce ucieleśniać się w pięknej formie, ani piękna forma nie chce wyrażać fałszywej idei.

*

Miłować swoją ojczyznę znaczy: życzyć sobie gorąco urzeczywistnienia w ludzkości jej ideałów i wedle swych sił przyczynić się do tego.

*

Powiedzcie, jakie wrażenie przede wszystkim czyni na was każde opowiadanie Gogola? Czy nie zmusza ono was do wypowiedzi: „Jakże proste, codzienne, naturalne i wiarogodne jest to wszystko!" Czy nie poczytujecie sobie za dziwne, dlaczego sami nie byliście w stanie odtworzyć tych wspomnianych codziennych, tak z wami zażyłych, tak często spotykanych osób i dlaczego nie umieliście ich wstawić w takie same codzienne, zwyczajne otoczenie, które was w rzeczywistym życiu zanudza aż do uprzykrzenia a które tak zajmująco i uroczo przedstawia się w poetyckim ujęciu? To jest pierwsza cecha prawdziwego dzieła sztuki... I im prostsza jest treść opowiadania, które w tak wysokim stopniu wiąże uwagę czytelnika, tym większy talent autora odsłania ona. Kiedy przeciętny talent zabiera się do odtworzenia w dziele literackim silnych namiętności i pogłębionych charakterów, to może on stanąć na szczudłach, nadąć się, rozpłynąć się w głośnych monologach, stworzyć piękne słowa, zmylić czytelnika olśniewającym stylem, piękną formą, treścią nawet, mistrzowską umiejętnością opowiadania, kwiecistym językiem — owocami swego oczytania, swego rozumu, swego doświadczenia życiowego. Kiedy jednak spróbuje odtworzyć proste sceny z powszedniego życia, to stworzy słabe, zimne, bezduszne dzieło, które nic u nas nie wywołuje jak tylko ziewanie...

Prostota fabuły jest w realnej twórczości jedną z najpewniejszych oznak prawdziwej poezji, prawdziwego a przy tym dojrzałego talentu.

*

Poezja nie cierpi abstrakcyjnych idei w ich bezcielesnej nagości, ucieleśnia natomiast abstrakcyjne pojęcia w żywych i wspaniałych postaciach, przez które prześwieca myśl, jak światło poprzez szlifowany kryształ.

*

Przyznając bez zastrzeżeń, że sztuka musi być przede wszystkim sztuką, bynajmniej jednak nie podzielamy zdania, że myśl o czystej, oderwanej od świata sztuce, która żyje w swej własnej, nie mającej nic wspólnego z życiem sferze, jest fantastyczną, abstrakcyjną myślą... Sztuka jest odtworzeniem rzeczywistości, jest powtórzeniem, niejako tworzeniem na nowo świata: czyż może ona zatem być oderwaną od wszystkiego, izolowaną od wszystkich obcych jej wpływów czynnością? Czy jest możliwe, ażeby poeta nie odzwierciedlał się w swoim dziele jako człowiek, charakter, natura, jednym słowem, jako osobowość! Rozumie się samo przez się, że jest to niemożliwe, albowiem już w samej zdolności przedstawiania zjawisk rzeczywistości bez jakiejkolwiek zależności między nimi a poetą wyraża się znowu natura poety. Ale także ta zdolność ma swoje granice. Osobowość Szekspira przebłyska przez wszystkie jego dzieła, nawet jeśli pozornie wydaje się, że odnosi się on do stworzonego przez siebie świata z taką samą obojętnością jak los, który ratuje albo niszczy jego bohaterów... Osobowość poety to nie jest nic takiego, co by nie było uwarunkowane, co by istniało samo dla siebie, co by od wszystkich wpływów zewnętrznych było niezależne. Duch narodu i czasu nie może na niego wywierać wpływu mniejszego jak na innych.

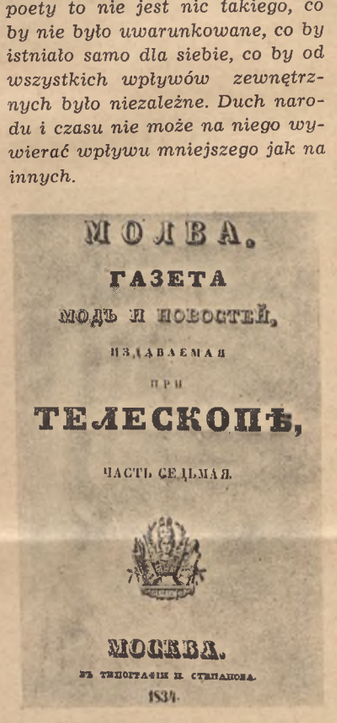
МОЛВА.
ГАЗЕТА
МОДЪ И НОВОСТЕЙ,
ИЗДАВАЕМАЯ
ПРИ
ТЕЛЕСКОПѢ,
ЧАСТЬ СЕДЬМАЯ.
МОСКВА.
ВЪ ТИПОГРАФІИ Н. СТЕПАНОВА.
1834.

Strona tytułowa pisma „Mołwa", gdzie po raz pierwszy ukazały się Bielińskiego „Marzenia literackie".

*

Czasy rymowanych drobnostek minęły bezpowrotnie: małe cierpienia i bóle nic nie znaczą; na ich miejsce żąda się głębokich uczuć i idei, wyrażonych w formie artystycznej, obojętne, czy w tym wszystkim będzie rym czy nie.

Wisarion Bieliński
Przełożył
Wiktor Stanisławski

Obraz naszego piśmiennictwa marynistycznego nie byłby pełny, gdybyśmy pominęli w nim tak ważną dziedzinę, jaką jest oceanografia i nauka o morzu. Jest to dziedzina bardzo specjalna, za mało u nas jeszcze spopularyzowana, ale bardzo ciekawa i to nie tylko dla ludzi interesujących się zagadnieniami morskimi. Że nasz udział w nauce o morzu jest niewielki, to rzecz zrozumiała. Przecież okres wielkiego rozwoju nowoczesnej oceanografii przypadł na czas naszej niewoli państwowej, kiedy nie mogliśmy nawet marzyć o organizowaniu jakichkolwiek wypraw oceanograficznych, czy laboratoriów nadmorskich, nie mówiąc już o systematycznym wychowywaniu ludzi, poświęcających się nauce o morzu. A jednak i w tej dziedzinie nie brakło polskich uczonych, którzy swymi pracami przyczynili się do wzbogacenia tej szczególnej nauki. Jednym z nich jest właśnie dr Kazimierz Demel, kierownik jedynego w Polsce Morskiego Laboratorium Rybackiego, autor wielu prac naukowych z tej dziedziny, przede wszystkim *„Życia morza"*, wydanego w roku 1947. Kilkunastoletnia praca naukowa w Morskim Laboratorium Rybackim w Gdyni pozwoliła mu wniknąć w najważniejsze zagadnienia oceanograficzne i przyczynić się do wzbogacenia nauki polskiej o niejedno doświadczenie.

O to właśnie pytam autora „Życia morza":

— Może powie mi Pan najpierw, jak przedstawiał się polski dorobek naukowy w dziedzinie morzoznawstwa i oceanografii przed pierwszą wojną światową?

— Czasy wielkiego rozwoju oceanografii nowoczesnej nie przeszły u nas bez śladu, mimo że nie mieliśmy wtedy nie tylko niepodległego bytu państwowego, ale nawet własnych tradycji naukowych w zakresie badań morskich. Był to okres drugiej połowy XIX i pierwszych lat XX w. Przyrodnicy nasi pośrednio zaznaczali swe zainteresowania nauką o morzu, czy to pracując na zagranicznych placówkach morskich, czy też opracowując wyniki ekspedycji morskich, *a nawet biorąc udział w wyprawach oceanograficznych jak Arctowski i Dobrowolski*, uczestnicy słynnej belgijskiej wyprawy antarktycznej, których dorobek naukowy w dziedzinie oceanografii fizycznej zasilił ważne wyniki tej ekspedycji.

Z przyrodników naszych, którzy w okresie niewoli największe okazali zainteresowanie problemami oceanografii biologicznej, należy wyróżnić *Syrskiego*, kierującego przez jakiś czas muzeum przyrodniczym w Trieście. Zajmował się on głównie budową ryb morskich, a do najważniejszych jego zdobyczy naukowych należy odkrycie samców węgorzy, których gruczały po dziś dzień w nauce noszą nazwę „organów Syrskiego". Inni — to profesor *Kwietniewski*, który poświęcił długoletni swój pobyt za granicą na stacjach morskich i uniwersyteckich badaniu zwierząt mórz południowych. Również prof. *Nusbaum* wraz ze swymi uczniami odwiedział często stacje nadmorskie opracowując tam różne tematy z biologii morza. Przedwcześnie dla nauki zmarły *Wietrzykowski* na kilka lat przed wojną zbadał w Roscoff pełny i bardzo osobliwy cykl rozwoju jamochłonów. Odwiedzali placówki nadmorskie również inni uczeni, których ślady, mniej lub więcej trwałe, pozostaną w archiwach dziejów nauki o morzu.

— A jak przedstawiała się nasza nauka o morzu w czasie pierwszej niepodległości?

— W okresie pierwszej niepodległości, po wielkiej wojnie, zainteresowanie morzem i jego problemami znacznie wzrosło, głównie przez uzyskanie własnego wybrzeża. Już w roku 1921 Wydział Rybacki Ministerstwa ustanowił dekret o utworzeniu Morskiego Laboratorium Rybackiego na Helu, a kierownik Wydziału dr Borowik przeprowadził rozmowy z prof. Jakubskim i ze mną co do objęcia stanowisk. Placówkę uruchomił wreszcie w roku 1923 prof. Jakubski, a mnie powierzono jej kierownictwo. Krótki, bo zaledwie dziewięć lat trwający okres bytu naszej pierwszej nadmorskiej placówki naukowej, mimo prymitywnych środków i trudnych warunków życia, zwłaszcza zimą, dał nam kilkanaście prac hydrograficznych, biologicznych i rybackich, ważnych jednak, bo orientujących i często zasadniczych dla stosunków panujących przy Helu.

W roku 1926 w sukurs Morskiemu Laboratorium Rybackiemu przyszedł Dział Ekonomii i Organizacji Rybactwa, utworzony przy Państwowym Instytucie Naukowym Gospodarstwa Wiejskiego w Bydgoszczy, kierowany przez dr Borowika i B. Dixona. Uzyskuje on statek badawczy „Ewa" i dokonuje pierwszych regularnych pomiarów hydrograficznych w Zatoce Gdańskiej oraz opracowuje pod względem przemysłowo-naukowym główne nasze ryby użytkowe.

W roku 1932 powstaje Stacja Morska jako sukcesorka zlikwidowanego wskutek braków budżetowych Morskiego Laboratorium Rybackiego i wymienionego Działu Ekonomii — o szerszym programie morsko-biologicznym i rybackim. Przydzielono ją do Instytutu Naukowego Biologii Doświadczalnej, a kierownictwo powierzono dr M. Boguckiemu. Do końca 1938 r. Stacja Morska pozostawała na Helu, w następnym zaś roku przeniesiona została do Gdyni, do własnego, odpowiednio urządzonego gmachu. Stacja Morska urzeczywistaniała swe zadania w ramach ogólniejszego programu „Rady Międzynarodowej do Badania Morza" w Kopenhadze, do którego przystąpiła też Polska, wyznaczając jako stałego delegata prof. Siedleckiego z Krakowa oraz dr J. Borowika i dr Lubeckiego.

— Jaki był zakres badań tej stacji?

— Zmierzał on ku wszechstronnemu badaniu morza, zwłaszcza południowych rejonów Bałtyku. W tym celu został dobrany i odpowiednio wykształcony personel naukowy, składający się z fizjologa, zoologa, algologa, plantologa, hydrografa i kilku ichtiologów. Stacja organizowała wyjazdy programowe na Bałtyk, kursy metodyki badań morskich, tworzyła bałtyckie muzeum przyrodnicze, budowała akwarium morskie. Zgromadziła zasobną oceanografię i rybacką bibliotekę. Otrzymywała w drodze wymiany fachowe wydawnictwa periodyczne. Sama wydawała Biuletyn i „Prace Stacji Morskich". Do dyspozycji miała statek badawczy „Ewę", motorówkę i dwie łodzie. Latem odwiedzali Stację Morską przyrodnicy, którzy pracowali tu nad różnorodnymi tematami.

Ten aktywny początek i korzystnie zapowiadający się rozwój naszej nadmorskiej placówki przerwała wojna. Po wojnie wznowiono działalność naukową tej placówki, przemianowanej na Morskie Laboratorium Rybackie i wcielono do Generalnego Inspektoratu Rybołówstwa Morskiego.

— Jakie posiadamy oryginalne dzieła, które w popularnej formie wprowadzają czytelnika w ogólne zagadnienia nauki o morzu?

— Najważniejsze z nich to *„Wyprawy polarne"*, napisane przez uczestnika ekspedycji na „Belgice" A. B. Dobrowolskiego. Książka ta, napisana pięknym językiem, podaje szczegółowo historię wypraw biegunowych oraz ciekawie i barwnie przedstawia oceanografię fizyczną i biologię mórz Antarktydy. Jest świetnie ilustrowana.

Druga książka, to *„Życie w nurtach oceanu"*, wydana w roku 1910 w Krakowie — daje nam z polotem przedstawiony zwięzły szkic oceanografii biologicznej. Autorem jej jest E. Kiernik. Trzecia to: *„Skarby wód"* prof. Siedleckiego, patrona naszych samodzielnych poczynań oceanograficznych i morsko-rybackich. Autor zestawił w niej w formie szkiców szereg obrazów z życia morskiego.

Ostatnią wreszcie z tej dziedziny książeczką jest wydana w roku 1938 przez Morski Instytut Rybacki praca pt. *„Ryby morskie"*, również napisana przez Siedleckiego. Mamy tu zestawione najważniejsze gatunki, przeważnie użytkowe, oraz wiele ciekawych danych o ich połowach, życiu i rozsiedleniu. Książki te świecą jak cztery gwiazdy morskie na tak, niestety jeszcze słabo wyiskrzonym niebie naszej oryginalnej literatury morskiej. Oprócz tego po wojnie ukazało się kilka książek, wydanych przez Morski Instytut Rybacki, np. zbiorowa praca pt. *„Morski przewodnik rybacki"*, *Rybołówstwo Morskie"*, dr Kulikowskiego i inne, mniej lub więcej wiążące się z naukową marynistyką i rybołówstwem morskim. Mówię tu, naturalnie, tylko o książkach przystępnie napisanych i mających ogólniejszy charakter. Prócz tego jednak istnieje, oczywiście, sporo rozpraw morskich ściśle naukowych, rozproszonych po czasopismach i periodykach specjalnych takich jak: Biuletyn Stacji Morskiej, Archiwum Hydrografii i Rybactwa, Kosmos, Wydawnictwa Akademii Umiejętności itd.

— Zapomina Pan, Doktorze, o swoich świetnych książkach. O ile mi wiadomo, wydał Pan sześć prac z omawianych dziedzin. Szczególnie interesującym dziełem wydaje mi się istna encyklopedia morskich zagadnień, jaką jest Pańskie „Życie morza". Pisał ją Pan w czasie okupacji, jak wynika z przedmowy. Chyba nie było to łatwe?

— Jeśli Pan już wspomniał o tej właśnie książce, pragnę dodać parę szczegółów osobistych o jej powstaniu. Napisałem ją w ciągu 16 miesięcy podczas ciężkich chwil 1940-41 roku. Pracowałem nad nią po 6 godzin dziennie, czyli jest to skoncentrowany trud około 3000 godzin. Dedykowałem ją mojej żonie, Jeanne z domu Salamagne, Francuzce z pochodzenia, która zginęła podczas powstania warszawskiego. Nie uczyniłem tego jednak przez jakiś snobizm autorski. Żonie bowiem zawdzięczam, że mogłem tę książkę napisać. Po wysiedleniu z Gdyni założyliśmy w Warszawie małą kawiarenkę. Żona ją prowadziła, a ja, nie troszcząc się o ciężki byt, pracowałem nad książką. Pisząc ją uświadamiałem sobie cel, jaki jej przyświecał. Pragnąłem, aby spełniła pewną rolę społeczną, aby wprowadziła czytelnika w ogólną naukę o morzu.

— Czy była to jedyna książka napisana podczas okupacji?

— Nie. W latach 1942-43 napisałem, w podobnych zresztą warunkach, także inną większą pracę pt. „Zwierzę i jego środowisko", wydaną potem w bibliotece Wiedzy T. E. M. tom 50.

Ekologia zwierząt — to moja druga umiłowana dziedzina.

— Które z zagadnień oceanograficznych czy morskich należałoby opracować w obecnej chwili?

— Przede wszystkim odczuwa się brak książki z dziedziny oceanografii fizycznej, przynajmniej takiej, która odpowiadałaby „Życiu morza" — zarysowi oceanografii biologicznej. Dawny, przedwojenny „Zarys oceanografii" A. Hryniewieckiego, wydany przez Państwową Szkołę Morską, dziś wymagałby korektury, poza tym jest zupełnie wyczerpany.

— Czy projektuje się teraz jakąś wyprawę oceanograficzną?

— O ile mi wiadomo, nie — przynajmniej w najbliższym czasie, gdyż wymagałoby to ogromnych kosztów. Z chwilą jednak uzyskania przez Morskie Laboratorium Rybackie kutra badawczego rozpoczęte będą systematyczne rejsy badawcze na bliższe i dalsze wody Bałtyku i rejonu przejściowego, celem zebrania materiałów hydrograficznych i rybackich, których opracowanie leży w programie prac M. L. R.

— Może Pan nam opowie coś o pracy w Waszym Laboratorium.

— Obecnie prace w zakresie nauki o morzu koncentrują się głównie u nas. Morskie Laboratorium Rybackie zatrudnia około 10 pracowników naukowych, specjalistów z takich dziedzin jak hydrochemia, biologia morza i ichtiologia morska. Laboratorium posiada zasobną bibliotekę fachową, liczącą ponad 3000 książek. Wydaje swój organ naukowy „Biuletyn Morskiego Laboratorium Rybackiego". W najbliższym czasie będzie dysponować własnym statkiem — dalekomorskim kutrem badawczym — odpowiednio adoptowanym do rejsów naukowych. Dodam jeszcze, że w dziedzinie meteorologii morskiej i hydrologii czynną placówką jest też Obserwatorium Morskie w Gdyni, które do swej pracy ma duży trauler „Zodiak".

— Do ważnych laboratoriów nadmorskich należą też muzea morskie. U nas w Szczecinie posiadamy takie muzeum, co prawda dopiero niedawno założona i jeszcze nie kompletnie wyposażone. Czy jest to jedyne muzeum tego rodzaju w Polsce?

— Wydaje mi się, że tak. Uzupełnia ono swym programem i zakresem badań naszą placówkę.

— Czy w związku z powiększeniem się naszych granic morskich rozszerzony został zakres nauki o morzu na naszych uniwersytetach?

— Niestety, niewiele jeszcze zrobiono na tym polu. Byłoby ze wszech miar wskazane stworzenie w jednym z nadmorskich miast czegoś w rodzaju „Studium Morzoznawczego", w oparciu powiedzmy o najbliższy uniwersytet, które to „Studium" koncentrowałoby u siebie katedry i pracownie szeroko rozumianej wiedzy o morzu (oceanografia fizyczna, meteorologia, geologia nadmorska, oceanografia biologiczna, ekologia morza, rybołóstwo etc.). Ułatwiłoby to w ogromnym stopniu szkolenie młodych fachowców z różnych dziedzin marynistyki naukowej.

— Jeszcze jedno pytanie. Nad czym Pan teraz pracuje?

— Obecnie pracuję nad tematami z dziedziny bioekologii morza. Jest to nauka syntetyczna, zajmująca się, najogólniej powiedziawszy, gospodarką życia w morzu i uwzględniającą w szczególności specyficzność warunków środowiska morskiego, przystosowawcze (ekologiczne) typy organizmów i życie zespołowe, które, łącznie z rybami użytkowymi, wyławianymi przez człowieka, są końcowym wyrazem gospodarki życia w morzu. W szczególności opracowuję obecnie, wspólnie z prof. Wojtusiakiem z Uniwersytetu Jagiellońskiego, zespół Mytilus-Balamus (omułek-pękla) bardzo charakterystyczne skupienie żyjących obok siebie i konkurujących z sobą o przestrzeń zwierząt osiadłych. Przeprowadzamy „analizę ekologiczną" tego zespołu na podstawie materiałów zebranych latem.

W druku mam książkę o Morzu Północnym i drugie wydanie „Biologii Morza". Planuję też książkę o charakterze ogólnym — „Bioekologię Morza". To na razie wszystko, jeśli chodzi o moje plany.

Stanisław Telega

Rozmowy z polskimi marynistami (VIII)

Kazimierz Demel

Wyrywanka

(Dokończenie ze str. 1)

Nie doszło do tego.

Przywrócone prawowite posiadanie, ma obrócić zamek w zakład dla polskiej młodzieży. Niechże się poczują swojo na tym podwórcu, którego mury z kamienia pól tutejszych sklepili praojcowie bytowskich autochtonów. Niech się poczują ojcami domu, choć tyle czerwonej cegły dołożyła tam krzyżacka wrogość.

Z okrągłej wieży roztacza się widok na okolicę, bogatą tylko w urodę polodowcowych pagórków i najwyższe piękno wygranej po tylu wiekach zmagania.

Potężny akcent zamku na panoramie miasteczka ginie nam z oczu, gdy pędzimy szosami, których domowe węże ścielą się między pagórkami nisko, jak najniżej. Ta ich wybredność, leniwość wobec górek jest stara. Gdy mięśnie sił pociągowych są gospodarsko cenne, jeździ się drogą najmniejszego oporu. Na te prawieczne drogi rzucano potem asfalt pod samochody. Wygoda tych dróg połączyła się przeto z wyszukaną malowniczością.

Drogi w bytowskim i miasteckim są piękne. Przebywa się je w radosnym polocie. Cudownie wszędzie pachnie w sianokosy. Prawie nieprzerwanie wonią się obłożone drogi, jakby witano tu gościa najsubtelniejszą właściwością tej ziemi.

Nigdy tam nie jest tak pięknie, jak po przejściu poprzez trawy srebrnych, niby rosa kos.

mirzyckiego wzgórza patrzeć trzeba ku południowi i uświadomić sobie, że 28. VI. 1919 roku w Wersalu nie przyznano nam tej ziemi, że stąd, z „niemieckiego" kraju, po prusku patrzyło się ku sąsiedniej, widocznej Polsce. Stąd chciwie samiż Niemcy powyrywali słupy graniczne i ponieśli je bez opamiętania ku wschodowi. Porzucili je daleko, złamani w boju przez potęgę radziecką. Teraz niema słupów granicznych. My, z kolei powbijaliśmy je daleko stąd w przeciwnej stronie, na zachodzie, na brzegu Odry.

Wkoło wzgórza, w malowniczym, a ubogim kraiku, gdzie miastka są małe i gdzie bytować ledwie, najdłużej utrzymali się ludzie z prawieka tutejsi. Dziś prapolskością swoją najwymowniej świadczą o naszej tu nieprzemijalności. Choć wlekli kamienie morenowe na sklepanie zamku krzyżackiego, choć niemczono ich od sześciu stuleci, przecież zawsze naszej stronie pomagali gniazda te odzyskiwać.

Nastrój granicy, która upadła, jest tak radosny, jak z morza przybicie do brzegu, po nurzącej wędrówce.

Z lasu wołają wilgi. Jak ruszysz się, to sójka przeleci spłoszona.

Może zaraz zobaczysz, jak w słońcu czarny łeb dzika zacznie przepływać środkowe, wielkie jezioro. Tak samo, jak przed wiekami, jak w oczach praojca tutejszych ludzi — pradzik tego,

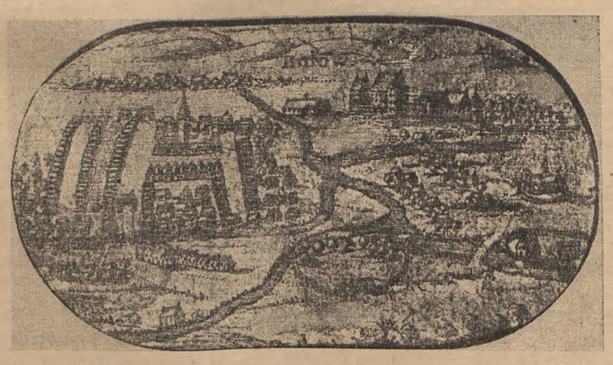

Widok Bytowa od zachodu. Fragment mapy Lubina z roku 1618

co płynie... jak w czasach, zanim nastała wyrywanka...

Nie pojedziemy nad jezioro Jasień, gdzie, ponoć spotkać można kormorary, czaple i orły-rybołowy. Wpadnijmy lepiej na najwyższe wzniesienie Pomorza (256 m). Z tego to Sie-

Płynie dzik przez jezioro dziś, w czasie kiedy tu wyrywanka ustaje na zawsze.

Jarosław Rogala.

Życie teatralne we Wrocławiu

Książę, strzały i widmo

Państwowy Teatr Dolnośląski zamienił się w wielki „koncern" teatralny — we Wrocławiu. Przygarnął, ciągle borykające się z trudnościami finansowymi, Operę Dolnośląską i Filharmonię Wrocławską, prócz tego w skład koncernu weszły Teatr w Jeleniej Górze i Świdnicy, które obsługiwać mają ponadto kilka innych większych ośrodków Dolnego Śląska. Dyrektorem Generalnym został Jerzy Walden, dyrektorem artystycznym opery (a zasadniczo całego działu muzycznego) Kazimierz Wiłkomirski, administracyjnym Zenon Szydłowski.

Kierownictwo teatru w Świdnicy spoczywa nadal w rękach dyr. Wiktora Biegańskiego, a w Jeleniej Górze dyrektorem teatru pozostała Zuzanna Łozińska.

W ten sposób zmiana „ustroju teatralnego" na Dolnym Śląsku przeszła bez wstrząsów, a ujednolicenie linii programowej i współpraca teatru wrocławskiego przyczynią się zapewne do żywego rozwoju życia teatralnego.

Państwowy Teatr Dolnośląski we Wrocławiu otworzył sezon „Sułkowskim". Nim jednak omówię tragedię Żeromskiego zajmę się „Mirandoliną" Goldoniego i „Strzałami na ulicy Długiej" Świrszczyńskiej które wystawione zostały przed oficjalnym otwarciem sezonu. Starannie wystawioną w przyjemnej i pomysłowej oprawie scenicznej Jadwigi Przeradzkiej „Mirandolinę" nie zaliczałbym do serii najszczęśliwszych spektakli teatru wrocławskiego. Niektórym wykonawcom brakło finezji i polotu, a całość nie dawała wrażenia lekkości tak niezbędnej w realizacji uroczych sztuk starych mistrzów komedii.

Ponure „Strzały na ulicy Długiej" mają bez osłonek przedstawić wycinek życia Warszawy w okresie okupacji.

Świrszczyńska pisząc sztukę w zasadzie sensacyjną nie zrezygnowała ze sporego zastrzyku psychologii.

Bohaterzy dramatu wikłają się w trudne procesy psychologiczne, obciążające nieskomplikowaną fabułę, aby rozplynąć się bez pointy, lub gdy już wszystkie możliwe rozwiązania zostały zawiązane w węzeł bez wyjścia, skończyć w rewolwerowym finale. Nie mniej jednak „Strzały na ulicy Długiej" robią na widowni duże wrażenie dzięki płynnym dialogom i dobrej konstrukcji scenicznej.

Nie małą w tym zasługę przypiszemy reżyserowi wrocławskiego przedstawienia Marii Leonii Jabłonkównie, która umiejętnymi skrótami wzmogła tempo akcji i inteligentnymi podkreśleniami uprawdopodobniła postacie. Janina Martynowska z dyskrecją i umiarem dźwigała tragedię wykolejonej Oli (znakomita w scenie zamierzonego samobójstwa), Józef Adolfa Chronickiego był trochę tajemniczym, trochę brutalnym, ale przede wszystkim szlachetnym typem, którego ani przez chwilę nie podejrzewaliśmy o to, że potrafi zostawić kobietę samą w obliczu niebezpieczeństwa.

Mieczysława Serwińskiego w najsympatyczniejszej roli profesora miało się ochotę uściskać za wspaniałą bezradność i dobroć serca. Bardzo ciekawy typ wojennego dorobkiewicza stworzył Jan Wiśniewski jako Barczak.

Dobrzy byli Sabina Grochowska i Zenon Burzyński jako Helcia i Franek, choć licho wie poco autorka umieściła w tej sztuce te postacie.

Ale wróćmy do „Sułkowskiego" którego wystawienie było uwieńczeniem 2-letniej wytężonej pracy i ambitnych planów teatru wrocławskiego. Realizacja tragedii Żeromskiego wymaga niebylejakiego wysiłku inscenizatora i całego zespołu. Wysiłek ten opłacił się, gdyż zobaczyliśmy szlachetny spektakl, pulsujący rewolucyjnym żołnierskim patosem.

Poezja niewyrachowanego bohaterstwa polskiego żołnierza, goniącego za wolnością pod obcymi sztandarami, aż pod piramidy — tragiczna i jakże niestety aktualna, wstrząsała do głębi.

W reżyserii Jerzego Waldena sceny dramatu miarowym rytmem stopniowo nabrzmiewały wewnętrzną emocją do końcowego krzyku rozpaczy Ventura.

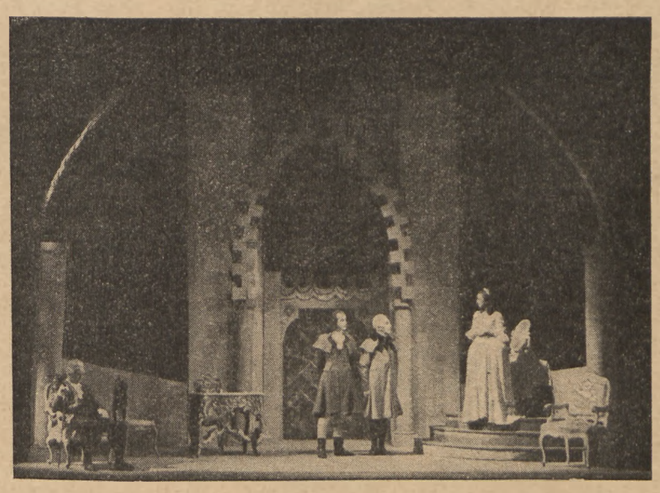

Scena z „Sułkowskiego" w reż. J.Waldena. Scenografia Jędrzejewskiego i Langego.

Jedyne zastrzeżenie miałbym do I aktu, w którym postacie wiarusów były nieprzekonywające a tekst mówiony — dla utrzymania nastroju nocnego biwaku — półgłosem, nie dochodzi do uszu widzów.

W tytułowej roli Stanisław Zaczyk ujmował szlachetnością postawy i pięknie mówionym tekstem. Ogromna rola wyrastała jednak chwilami ponad możliwości techniczne tego młodego zdolnego aktora, wśród scen pełnych wewnętrznego żaru trafiały się i momenty puste.

Władysława Nawrocka jako księżniczka Gonzaga rozwinęła całą gamę swego niepospolitego talentu i mimo, że rola ta stanowczo nie leży w jej emploi, potrafiła Nawrocka znaleźć bardzo przekonywające środki dla stworzenia żywej postaci.

Doskonali byli Mieczysław Serwiński jako gnębiony przeciwnościami ale nieugięty książę Modeny, Marian Godlewski jako trochę demonicznie przebiegły d'Autaignes i Marian Nowicki jako prostolinijny, głęboko przeżywający tragedię Sułkowskiego Venture. Poza tym z ogromnego afisza należałoby jeszcze wyróżnić Tadeusza Schmidta w roli Mordwinowa (świetna aparycja i opanowanie), A Chronickiego (Ruzzini), B. Brońskiego (Worsley) i słabego w I akcie, ale bardzo wruszającego w scenach końcowych M. Ziobrowskiego w roli Zawilca.

Dekoracje A. Jędrzejowskiego i W. Langego bardzo ciekawe w barwach i układzie przestrzeni scenicznej. W akcie II i IV tak bogate i imponujące rozmachem, że raczej przywodziły skojarzenia z operami Verdiego niż z tragedią Żeromskiego.

Ilustracja muzyczna dyr. K. Wiłkomirskiego znakomicie odzwierciedliła wówwnętrzny klimat sztuki.

A podczas gdy na wielkiej scenie panuje wielki repertuar, publiczność Teatru Popularnego przeżywa emocje na sensacyjnej sztuce Ridley'a „Pociąg widmo"...

WOJCIECH DZIEDUSZYCKI

Sztuka na Śląsku Cieszyńskim

Henryk Nitra: Pastorałka

Jan Wałach: „Panem nostrum cotidianum" (drzeworyt)

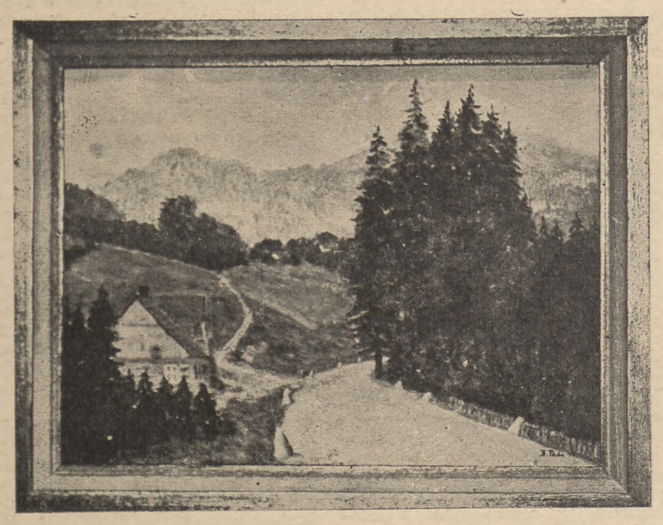

Ponc: Droga na Czantorię

Karol Stopkowicz: Nad Młynką

wśród CZASOPISM

Spod pióra Stefana Żołkiewskiego wyszła zasadnicza krytyka powojennej literatury polskiej. Przynosi ją artykuł „Agitur de re vestra" w 44 numerze *Kuźnicy*. Żółkiewski który protestował przeciwko zoilowskiemu bilansowi literackiemu Kotta, sam znalazł się po trosze w jego roli, ale naturalnie pozy zoilowskiej nie przejął. Rozłożył światła i cienie, podsumował naprzód osiągnięcia i z nich dopiero wyszedł do oskarżeń. Oskarżenia te nie noszą znamion krytyki namiętnej, unikają raczej piętnowania, starają się natomiast o logiczną, dobrze skonstruowaną argumentację. Są w rezultacie mimo swego charakteru generalnej rozprawy znacznie spokojniejsze w tonie niż wiele dotychczasowych wystąpień tego pisarza.

Podstawą, na której Żółkiewski opiera swoje wywody, są uchwały sierpniowe KC PPR, analizujące sytuację polityczną w partii i w kraju oraz wysuwające postulaty daleko idących zmian. Bilans pozytywny Żółkiewskiego jest dosyć długi, ale siłą rzeczy powierzchowny, przerastający wyraźnie ramy tego rodzaju wypowiedzi publicystycznej. W tej części artykułu otrzymujemy raczej zwięzłe powtórzenie polemiki Żółkiewskiego z Kottem, to znaczy powtórzenie argumentów przemawiających za tezą, że mimo wszystko literatura nasza idzie po linii postępu. Przechodząc do charakterystyki niedomagań naszej literatury powojennej Żółkiewski ustala ich przyczyny nieuchwytne i uchwytne. Przyczyna nieuchwytna, której omówienie odkłada na osobną okazję to fakt, że „poza paru wyjątkami trudno jest mówić o głębokim wrośnięciu emocjonalnym, o silnym związku uczuciowym między światem prostych ludzi a pisarzami. Często pisarz zajmuje postawę przekonanego obserwatora, a nie właściwą, według słów Gorkiego, dla współczesnego realisty postawę uczestnika tworzenia nowych form życia, współodpowiedzialnego". Słusznie stwierdza tu Żółkiewski, że oddziaływanie na postawę pisarza to sprawa ogólnej atmosfery ideowej w kraju, sprawa klimatu historycznego, rezultat całości wysiłków społeczeństwa budującego nowe życie". Pisarzy urabia patos ich czasu. Lecz patos ten tworzy naród — nie organizatorzy życia literackiego.

Uchwytnych przyczyn braków naszej literatury powojennej dopatruje się Żółkiewski w ubóstwie naszego literackiego ruchu umysłowego, w niedostatkach naszej krytyki literackiej i nauki o literaturze. Krytyka nasza nie ustaliła nowych kryteriów wartości literackiej, nie sformowała zasad nowej estetyki, nie ustaliła prawd, na których opiera się nowoczesny realizm, którego od literatury oczekujemy. Pisarze nasi tkwią jeszcze w systemie estetyki mieszczańskiej, nie widzą, że prawdziwe nowatorstwo polega na przepojeniu dzieła literackiego ideologią, w tym wypadku ideologią marksistowską. Zagadnienie nowego realizmu to przede wszystkim sprawa tej ideologii, to sprawa stosunku pisarza do niej. Dalszy błąd pisarzy to nie dostrzeganie walki klasowej, nierozumienie jej sensu. Nasz stosunek do tradycji literatury mieszczańskiej winien układać się nie na zasadzie kontynuacji osiągnięć technicznych, lecz na zasadzie kryteriów, które dyktuje walka klasowa. Żółkiewski stwierdza, że tendencje estetyczne są wyrazem dążeń klasowych, i jako estetyczne tendencje mieszczaństwa żyjące w naszej literaturze wymienia: „mroczny pseudokrytycyzm" (typu Celine'a), „naturalizm" (wpływ powieści amerykańskiej), oraz „anorfizm" rozpad formy powieściowej i nowelistycznej).

Jak wspomnieliśmy główny cios wymierzony przez Żółkiewskiego skierowany jest w krytyków i recenzentów jako ustalających normy estetyki i przez to oddziaływujących na pisarza i na czytelnika. Wydaje się jednak, że Żółkiewski przecenił trochę rolę krytyków i recenzentów. Niejednokrotnie sprawa ta była już u nas rozważana i niejednokrotnie przestrzegano przed zbytnim wywyższaniem roli opinii krytycznej. Nie można zaprzeczyć, że jest ona duża, że nowy prąd ideowy i kulturowy nie obejdzie się bez swojej awangardy teoretyków i bez szermierzy swoich prawd. Ale kroczą oni raczej w drugim szeregu. Pierwszy głos należy do twórców. Literatura radziecka miała Gorkiego i to było jej szczęście, które sprawiło, że istniał wielki wzór twórczy nowoczesnego realizmu, wzór, który torował drogi, pociągał pisarzy i zdobywał czytelników. Nie chcę przez to powiedzieć, że musimy biernie czekać na pojawienie się genialnego pisarza, którego twórczość realizując zasady nowej estetyki, otworzyłaby jej szerokie drogi rozwoju. Ale w całym wysiłku, który tu włożymy, pojawienie się takiego pisarza będzie momentem decydującym. I takie zjawisko twórcze może nas ustrzec od dogmatyzmu teoretyków.

*

Na zakończenie warto raz jeszcze zwrócić na tym miejscu uwagę na rozwój *Tygodnika Wybrzeża*. Tygodnik ten wydał bardzo dobry numer radziecki, w którym poza tą treścią specjalną znalazły się dwie jeszcze pozycje godne tego, by je zanotować, zanim pismo przyjmie się szerzej i zacznie docierać do liczniejszych odbiorców. Czytelników „Odry" zainteresuje przede wszystkim problem naszej literatury marynistycznej, który wiąże się z cyklem wywiadów marynistycznych prowadzonych przez Stanisława Telegę. Dlatego odsyłam do artykułu Leszka Proroka „Niedomagania literatury marynistycznej" *(Tygodnik Wybrzeża nr 39)*. Powołując się na ocenę przedwojenną doświadczonego marynarza parającego się piórem, Urbana Krzyżanowskiego, i analizując powojenne wznowienia powieści marynistycznych stwierdza autor, że w zakresie samej znajomości spraw morskich literatura nasza zrobiła wyraźny postęp, natomiast jeśli chodzi o znajomość człowieka morza, zaniedbania jej i szablony są ogromne. Pisarze nasi wciąż jeszcze obserwują morze z perspektywy wybrzeża, wciąż jeszcze szukają w jego tematyce sensacji i egzotyki. Na zakończenie domaga się większej popularyzacji naszej dawnej, skromnej ale dobrej literatury morskiej. Artykuł L. Proroka wart jest przeczytania, gdyż wywiady Telegi nastrajają raczej optymistycznie co do możliwości i rozwoju naszej literatury marynistycznej. — Drugą cenną pozycją wymienionego numeru *Tygodnika Wybrzeża* i to jak na pismo tygodniowe, pozycją wielce rzadką jest zajmująca całą kolumnę bibliografia opracowana przez Józefa Mitkowskiego „Najnowsze polskie prace historyczne, poświęcone Ziemiom Odzyskanym". Podaje ona 55 podzielonych tematycznie pozycji książkowych z lat 1945 — 1948 i stanowi doskonały przewodnik orientujący w zakresie postawionego sobie przez autora tematu. (ki)

Nagrody naukowe Z. O.

W czasie VII Powszechnego Zjazdu Historyków we Wrocławiu ogłoszono wyniki konkursu na najlepsze prace z dziejów Ziem Odzyskanych. Przyznano ogółem 8 nagród na ogólną sumę 550.000 złotych. Pierwszej nagrody nie przyznano nikomu. A oto podobizny niektórych laureatów.

Prof. dr Karol Maleczyński uzyskał drugą nagrodę za pracę pt. „Dzieje Wrocławia".

Prof. dr Kazimierz Piwarski uzyskał podobnie jak prof. dr Karol Górski, trzecią nagrodę za „Dzieje Prus Wschodnich w okresie nowożytnym"

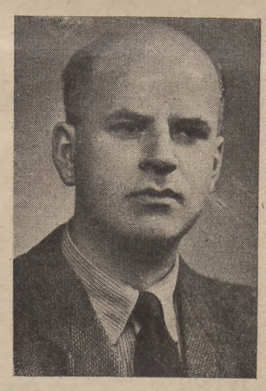

Jedną z czwartych nagród przyznano doc. dr Bogusławowi Leśnodorskiemu za pracę pt. „Władztwo biskupie na Warmii".

Jedną z piątych nagród uzyskał dr Bolesław Śląski za „Dzieje Ziemi Kołobrzeskiej"

List przyjaciółki

Ze wstydem dla nas musimy przyznać, że nazwisko p. Marii Babiakowej-Bajowej jest w Polsce nieznane dla szerszego ogółu społeczeństwa, ale p. Maria Babiakowa-Bajowa więcej dla Polski i sprawy kultury polskiej w Słowacji zrobiła, niżby to mógł zrobić nawet najlepszy i najzdolniejszy urzędowo mianowany ambasador. Pani Maria Babiakowa-Bajowa **przełożyła na język słowacki 18 książek polskich.**

Nie znam p. Babiakowej-Bajowej osobiście, nie prowadziłem z nią korespondencji przedtem, ale wiedząc, że na 28 października (Święto Narodowe Republiki Czechosłowackiej) będzie się podsumowywać wyniki współpracy kulturalnej między Polską a Czechosłowacją, chciałem chociaż w przybliżeniu podać czytelnikowi polskiemu, który z naszych pisarzy i przez kogo jest tłumaczony na bratnie nam języki słowiańskie i w tym celu napisałem do jednego z wydawnictw słowackich, w którym Babiakowa-Bajowa wydała kilka swoich tłumaczonych książek polskich, z prośbą o podanie mi jej życiorysu. Po jakimś czasie otrzymałem list od niej samej, który tutaj in extenso w tłumaczeniu, dla zobrazowania społeczeństwu polskiemu jej pracy, przytaczam:

Szanowny Panie!

Ze Spolku sv. Vojtecha w Trnawie napisali mi, żebym Wam cośkolwiek o sobie napisała i posłała fotografię.

Maria Babiakowa-Bajowa

Jestem wprost w rozpaczy, gdy mam o sobie pisać, bo nawet dobrze nie wiem co by mogło przyjaciół w Polsce ciekawić. Napiszę chyba o tym, jak doszłam do pracy nad zbliżeniem naszych bratnich narodów.

Polskie dzieła literackie czytałam w przekładach już za swoich gimnazjalnych czasów (Reymonta, Sienkiewicza i innych) a niektóre i w oryginałach. Od wtedy już śledziłam z zainteresowaniem wszystko, co w naszym ruchu od was przychodziło. Na uniwersytecie zaraz w pierwszym roku (1934) byłam pilną słuchaczką niezapomnianego docenta dr. Wł. Bobka. Wykładów jego o bratniej literaturze polskiej słuchałam wprost ze zbożnym zainteresowaniem. On nas wiódł ku temu, żeśmy zaczęli podziwiać, czcić i kochać wielkich myślicieli Polaków. Dr Bobek już w pierwszym semetrze przyjął mnie jako pomocniczkę na swój kurs języka polskiego, prowadzony w bratysławskim radio. Jemu zawdzięczam, że mi w drugim roku studiów uniwersyteckich dopomógł dostać się jako stypendystce do Krakowa, gdzie się tylko zwiększyły moje zainteresowania polską literaturą i życiem kulturalnym. Studentki, z którymi obcowałam, czytały w owym czasie i podziwiały Z. R. Nałkowskiej „Kobiety" — wtedy, w czasie wczesnej młodości i ja też nie byłam inna — tak że „Kobiety" przełożyłam na słowacki jeszcze w Krakowie. Z książek, które sobie przywiozłam do domu, oczarowała mnie książka Jana Wiktora „Tęcza nad sercem", i dlatego zaraz i tę książkę przełożyłam.

Tak się stało, że wkrótce wyszły dwie moje tłumaczone książki — zawartością i duchem tak sobie dalekie. Do końca moich studiów uniwersyteckich pomagałam dr Bobkowi przy jego pracy w radio i w wielu miastach Słowacji, gdzie wykładał o Waszym życiu kulturalnym. Recytowałam urywki prozy i poezji polskiej, bądź to w oryginale bądź też w przekładach. Wiadomość o jego (dr Bobka) bolesnym przeznaczeniu i tragicznej śmierci dotknęła mnie tak boleśnie, że długo nie mogłam się pogodzić z twardą rzeczywistością, że już go nie ma pomiędzy żyjącymi, że odszedł na zawsze tak znakomity pracownik i znawca naszych zainteresowań i naszego życia kulturalnego. Odejście jego będziemy tutaj jeszcze długo wspominać i pamiętać. Żałuje go również i nasza Alma Mater, gdzie jeszcze dotąd nie ma jego następcy. A powinien by tutaj być. I to taki, który byłby godnym jego następcą.

Ja tym usilniej przywiązałam się do pracy, której on mnie nauczył. Opuściłam szkołę i wykorzystuję każdą wolną chwilę, żeby móc usiąść przy swoich „bliskich" z Polski.

Moim ulubionym pisarzem jest Jan **Wiktor.** Z jego dzieł przełożyłam „Tęczę nad sercem", „Orkę na ugorze" i „Skrzydlatego mnicha".

Z innych autorów przełożyłam: **Zofii Nałkowskiej** „Kobiety", „Granicę", „Dom nad łąkami" i „Medaliony" (które znajdują się w rękopisie); **Ewy Szelburg-Zarembiny** „Wędrówki Joanny", „Ludzie z wosku" (niecierpliwie czekam razem z czytelnikami na III część), „Najmilszych", „Zuchy" i „Legendy Warszawy" (pozostały w rękopisie); **Seweryna Pollaka** „Matkę"; **Andrzeja Struga** „Żółty krzyż" (ukaże się w najbliższych dniach); przełożyłam go w 1938 roku, ale cenzura w czasie wojny nie pozwoliła go wydać; **Tadeusza Kudlińskiego** „Świętokradcę"; **Marii Wiszniewskiej** „Marmotka z gór"; **Heleny Bobińskiej** „O szczęśliwym chłopcu" (przygotowuje się do druku); **Marii Kędzierzyny** „Czar wielkiej sowy" (w druku).

Obecnie przekładam **Marii Dąbrowskiej:** „Dnie i noce". (podpis).

Nie tylko sprawa zasług Babiakowej-Bajowej ale i przypomnienie sprawy propagandy myśli i kultury polskiej w Słowacji nie pozwoliło mi włączyć powyższego listu do swoich prywatnych zbiorów lecz ogłosić go w prasie. Może miarodajne czynniki dojrzą nareszcie brak lektora polskiego w Bratysławie, w kraju słowiańskim najbliższym nam językowo, gdzie jeden tylko człowiek jak p. M. Babiakowa-Bajowa potrafi tyle zrobić dla kultury polskiej. Najlepszy to dowód chłonności kulturalnej narodu. Niech to wezwanie o lekturze dla Bratysławy podtrzymują ci polscy pisarze, którzy wymienieni są w liście p. Babiakowej-Bajowej, oraz ci przyszli, którzy napewno się znajdą w podobnym liście czy piśmie za lat kilka lub kilkanaście.

Józef Bojar

„Ditta"

Marcin Andersen Nexö „Ditta" Przekład Józefa Mondscheina Spółdz. Wydawn. „Książka" — 1948.

Są w literaturze zagadnienia, które zawsze wzruszają czytelnika jednakowo, o ile autor potrafi ściśle związać je z życiem i nadać im równocześnie tchnienie wieczyste. Ludzkie sprawy i niedole pomimo zmian, jakie w naszym życiu i w nas zachodzą wciąż pozostają te same i dlatego też nieśmiertelna jest wartość książek walczących bez demagogii — przy pomocy czystej sztuki o szczęściu człowieka. Do rzędu takich książek zaliczyć możemy „Dittę" Marcina Andersena Nexo, duńskiego artysty i społecznika w jednej osobie, który choć wiekiem dobiega już osiemdziesiątki, wciąż niestrudzenie walczy o ideały równości i sprawiedliwości. Nawet ci, którzy uparcie twierdzą, że na literaturę pesymistyczną nie ma obecnie miejsca i którzy momentów pozytywnych doszukują się jedynie w „budujących" peanach na cześć tzw. nowej rzeczywistości, nie mogą chyba zaprzeczyć, że beznadziejność „Ditty" ma w sobie wybuchowy ładunek protestu i jest najszlachetniejszym środkiem walki o poprawę bytu ludzi z proletariatu, którymi Nexö zajmuje się w swojej książce. Nie łudźmy się, że w związku z rewolucją społeczną, jaką obecnie przeżywamy, nie ma już dziś nędzy reprezentowanej przez Dittę i że zatem książka Nexö ma już tylko wartość dokumentu artystycznego. Jest ona wciąż aktualna i aktualna będzie zapewne zawsze, nie dożyjemy bowiem prawdopodobnie takiej chwili, aby nie było na świecie istot w taki czy inny sposób upośledzonych przez los. Czytelnik powierzchowny może znajdzie jedynie w „Ditcie" odbicie walki klasowej, która dziś w dawnej formie rzeczywiście już nie istnieje; czytelnik bardziej wnikliwy dopatrzyć się może w postaci nieskończenie dobrej, a wciąż bitej przez życie dziewczyny z ludu — symbolu ofiary, a w jej dziejach odwiecznej sprzeczności pomiędzy marzeniem a rzeczywistością. Sam autor charakteryzuje swoją „Dittę" w następujących słowach skreślonych jako motto do polskiego wydania tej książki: „Wziąłem moc serca, gliny i błota — i tak w świat weszła dziecina złota, by wśród dni życia szarych, złych, mglistych blask nieba błysnął w jej oczach czystych..., by — gdy moc życia twarda, zawzięta gnie, depce duszę — widniała świętal".

Ditta „urodzona nieślubnie" i odpowiednio do tego traktowana, wychowywana przez ślepą babkę, żyjącą z żebraniny i czarów, wzrasta w biedzie i poniżeniu. Ale choć zaprawiona do wszelkich wyrzeczeń, od zarania marzy o szczęściu, które musi przecież kiedyś przyjść do niej. Kiedy zjawia się przybrany ojciec (mąż matki) Ditta znajduje w nim duchowe oparcie jakkolwiek pochodzi on z rodziny nie cieszącej się dobrą opinią a więc znowu będącej niejako na indeksie. Ojciec ten nigdzie nie zawodzi jej zaufania, ale mimo swej dobroci i szlachetności nie potrafi uchronić Ditty przed jej przeznaczeniem. Już jako mała dziewczynka Ditta jest doświadczonym człowiekiem, na którego barkach spoczywa całkowicie wychowanie rodzeństwa, — człowiekiem który poznał nie tylko smak nędzy, ale i zbrodni zrodzonej z nędzy (śmierć ukochanej babki świadomie spowodowana dla pieniędzy przez matkę). Na służbie u ludzi Ditta pogłębia jeszcze swoje doświadczenie życiowe stykając się bezustannie z wyzyskiem, brakiem serca i brudem moralnym. Gdy w swej wrodzonej macierzyńskiej dobroci oddaje się — bardziej z litości niż z miłości — nękanemu bolesnymi przeżyciami wewnętrznymi synowi swej gospodyni, sama skazuje się niejako na nowe poniżenie. Nie chcąc jednak całkowicie przekreślać swego marzenia o szczęściu, odrzuca propozycję małżeńską ojca swego dziecka, dziecko oddaje obcym ludziom i udaje się ze wsi do Kopenhagi. Ale i tu los nie darzy jej dobrem. Ditta pracuje kolejno jako mamka, służąca, pokojówka, krawcowa, dozorczyni i wszędzie styka się znów z wyzyskiem, okrucieństwem i nędzą moralną. W jednym tylko domu traktowana jest jak człowiek równy tym, którym służy. Ogarnięta jednak miłością do swego żonatego chlebodawcy z domu tego zmuszona jest uciekać. A gdy poznaje miłość, od której nie jest zdolna uciec, szczęścia również nie może uchwycić. Ukochany jej — człowiek dobry, ale bez woli — obdarzywszy ją synkiem — po pijanemu ulega śmiertelnemu wypadkowi. Tak więc po raz drugi Ditta zostaje matką nie mając męża. Ma już zresztą przy sobie troje dzieci, gdyż wychowuje poza tym przybranego synka i córeczkę. Mało z tym, — jest opiekunką wielu ludzi, którzy sami nie mogą sobie w życiu dać rady. Ditta nie mogła patrzeć na małe bezradne stworzenie, by go nie przytulić; każdy płacz dziecka napełniał jej serce najczulszym macierzyńskim uczuciem. „Naznaczona, zda się, była stygmatem boskim, skazującym ją na to, by wiecznie brała na swe barki obcy ciężar, by wiecznie była do cudzych usług, wiecznie opiekowała się kimś" Wierna miłość ojca jej pierwszego dziecka — Karola, bojownika o nowy ład społeczny jest jedyną nagrodą Ditty za jej niestrudzoną pracę. Lecz nawet ta miłość pocieszyć jej nie może po utracie przybranego synka Piotrusia, który ciężko zarabiając jako mały zbieracz węgla ginie pod kołami pociągu. Złamana duchowo i trawiona chorobą umiera w 25 roku życia jako stara kobieta. I choć „ziemia stała się bogatsza przez nią, nie przyznano jej tego; była tylko jedną z wielu bezimiennych — dzieckiem ludzkim, którego oznaką są zawsze ręce szorstkie od pracy". Taki jest końcowy akord tej obszernej epopei o ludziach prostych i skrzywdzonych, a przecież kryjących w sobie wspaniałomyślną szlachetność. W czołowych bohaterów swej książki autor przelał widać własną krew serdeczną. Nie znaczy to jednak, że bohaterowie ci są wyidealizowani. Żyją oni bardzo prawdziwym życiem. Nexö, który — pochodząc ze środowiska zupełnie prostego — z trudem przebijał się przez życie i dzięki własnym, bolesnym nieraz doświadczeniom poznał na wskroś niedole proletariatu z własnych też przeżyć czerpie materiał do swych powieści. I dlatego też tchną one taką prawdą. A że Nexö jest artystą nieprzeciętnej miary „Ditta" jest książką wzruszającą nie tylko przez swą treść, ale i formę. Wprawdzie ma ona dłużyzny (zbyt drobiazgowe opisy mało znaczących faktów z życia codziennegu), — dłużyzny, których usunięcie podniosłoby znacznie wartość książki, lecz zawiera fragmenty niezrównane. Mam tu na myśli przede wszystkim pierwsze rozdziały książki napisane z filozoficznym niejako uśmiechem na ustach. Konstrukcja książki obmyślana jest głęboko, o czym świadczy może chociażby piękne powiązanie rozdziału „Urodziło się dziecko" (rozdz. III pierwszego tomu) z rozdziałem „Człowiek umarł" (ostatni rodział tomu drugiego). Styl Nexö jest obrazowy, sugestywny, a równocześnie ma w sobie ów charakterystyczny dla literatury północnej spokój. Nexö nie sili się na jakieś nowotworstwo, ale zdobywa się mimo to na niebanalne pomysły artystyczne. Jakże wymowne jest np. następujące zdanie: „Trzymał w swych rękach tę zmizerowaną twarz, która skutkiem łez nabrała wzruszająco pięknego wyrazu, niby zroszone pole jesienne"...

Książka przystępna jest dla najszerszego ogółu, powinna więc znaleźć się we wszystkich księgozbiorach dostępnych szerokim rzeszom, tym bardziej, że Nexö jest u nas prawie nieznany, a w literaturze duńskiej zajmuje bardzo ważną pozycję.

Wanda Bacewiczówna

Państwowy Teatr Śląski dał na scenie sosnowieckiej prapremierę sztuki Juliusza Wirskiego „Inżynier Saba". Recenzję ze wspomnianej sztuki zamieścimy w następnym numerze. Na zdjęciu scena zbiorowa. Oprawa dekoracyjna W. Makojnika.

Wydawnictwo Związku Zawodowego Literatów Polskich
Oddział w Katowicach

„ARKUSZ ŚLĄSKI"

1. Jan Baranowicz: Wiersze
1. Aleksander Widera: Wiersze
3. Aleksander Baumgardten: Wiersze
4. Edmund Osmańczyk: Hans Schneider
5. Władysława Szkaradkówna: Wiersze
6. Zdzisław Hierowski: Odbudowa kulturalna Ziem Odzyskanych
7. Wilhelm Szewczyk: Wiersze
8. Wojciech Żukrowski: Wiersze
9. Janina Zabierzewska: Wiersze
10. Jan Pierzchała: Wiersze
11. Józef Prutkowski: Wiersze

Zbiór „Arkuszy Śląskich" stanowi doskonałą antologię literatury śląskiej.

Do nabycia w lokalu Śląskiego Oddziału ZZLP. w Katowicach, ul. 3 Maja 36a

Krótkie spięcia

W sprawie Somosierry

W jednym z ostatnich numerów „Przekroju" niejaki p. Stanisław Gaworek zajął się sprawą Somosierry (z okazji odtwarzania tej bitwy przez rzeźbiarza-amatora Jana Jankuna-Pirsztela we wrocławskiej Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych) — i poddał ją krytycznej ocenie z punktu widzenia historyczno-politycznego.

Oczywiście, że Somosierra (względnie Somosierra) już niejednokrotnie była poddawana rewizjonizmowi historycznemu, bo chociaż stanowi niewątpliwie wielki dowód bohaterstwa w dziejach naszego oręża, ale z punktu widzenia politycznego była błędem, dającym się zresztą ocenić dopiero z perspektywy czasu (że Polacy bijąc się dla Napoleona na wszystkich frontach, i licząc na odzyskanie niepodległości, przeliczą się w końcu, to o tym, rzecz prosta, wtedy jak się bili nie mogli wiedzieć).

No ale, gdy się coś poddaje rewizjonizmowi historycznemu, to trzeba przede wszystkim tę historię znać. A p. Stanisław Gaworek napisał na temat Somosierry m. in. co następuje:

„Przypomnijmy ową imprezę, tak jak naprawdę wyglądała. Wojska napoleońskie idące w roku 1808 na podbój Hiszpanii, natknęły się na silnie obsadzoną przełęcz w górach Sierra de Guadamarra, przez którą prowadziła droga z Burgos do Madrytu. Wśród jednostek, jakimi dowodził Napoleon, znajdowały się i oddziały Legionów Dąbrowskiego. Legiony te były bardzo kłopotliwą pozycją w armii napoleońskiej. Biły się energicznie, lecz również energicznie domagały się niepodległej Polski, czego Napoleon nigdy na serio nie projektował w swych wielkich planach politycznych. Ale nie miał również ochoty tracić tak bitnego żołnierza, więc łudził Polaków obietnicami, śląc ich równocześnie na najbardziej stracone pozycje. Tak zrobił i pod Somosierrą. Wysłał do szarży ułanów pod wodzą Jana Leona Hipolita Kozietulskiego i ułani wąwóz zdobyli, choć ponieśli nieprawdopodobne straty.

...Małowartościowe zwycięstwo w górach Sierra de Guadamarra... itd."

Otóż po pierwsze nie ma żadnej Sierra de Guadamarra, tylko jest Sierra de Guadarrama, tak jak nie istnieją żadne Katarpy, a tylko Karpaty.

Po drugie Legionów Dąbrowskiego w roku 1808 już dawno nie było. Jak to wiadomo z każdego podręcznika szkolnego Legiony Dąbrowskiego zostały utworzone w r. 1797 i istniały do r. 1801, to znaczy do traktatu w Luneville. Potem zostały przekształcone na francuskie półbrygady i wysłane na San Domingo, gdzie niemal doszczętnie wyginęły.

Po trzecie w wojnie hiszpańskiej, która zaczęła się w r. 1808, brały więc udział nie żadne Legiony Dąbrowskiego, lecz wojska polskie Księstwa Warszawskiego, złożone z rozmaitych rodzajów broni

Po czwarte, jeśli chodzi o szarżę pod Somosierrą, to wykonali ją Szwoleżerowie Gwardii, nie wchodzący zasadniczo w skład Wojsk Księstwa Warszawskiego, lecz należący do przybocznych, niejako osobistych wojsk Napoleona (stąd litera „N" na czakach, czaprakach itd.). Pułk Szwoleżerów Gwardii został utworzony specjalnym dekretem Napoleona w r. 1807, a dowódcą jego był niejaki Kozietulski, lecz gen. Wincenty Krasiński, ojciec wieszcza Zygmunta. Kozietulski dowodził tylko słynną szarżą.

Po piąte szarżę pod Samosierrą wykonali tedy nie żadni ułani, lecz właśnie ci Szwoleżerowie Gwardii. Różnica zaś w owej epoce między ułanami a szwoleżerami była zasadnicza. Ułani mianowicie byli uzbrojeni m. in. w lance, a szwoleżerowie lanc nie posiadali (na co p. Stanisław Gaworek powinien był zwrócić uwagę rzeźbiarzowi Pirsztelowi, który według zdjęć zamieszczonych w „Przekroju" właśnie zaopatrzył tych szwoleżerów w lance).

No i to wszystko. Przypomnieliśmy więc tę imprezę, jak ona naprawdę wyglądała, konkludując przy tym, że w każdym razie p. Gaworek trochę tutaj nagaworzył.

Na przyszłość powinien zatem p. Gaworek przy rewidowaniu historii zrewidować również swe własne wiadomości z tej dziedziny. *NIEJAKI X.*

Wyd. „Czytelnik", 3 Maja 12. Redaktor naczelny WILHELM SZEWCZYK. Komitet redakcyjny: Zespół „Odry". Redakcja: Katowice, 3 Maja 36 a, II ptr. Telef. 325-58. Oddziały Redakcji: w Olsztynie: Jerzy Antoniewicz, OLSZTYN, ul. Kętrzyńskiego 4; — w Szczecinie: Stanisław Telega, SZCZECIN, ul. Waryńskiego 32. Rękopisów nie zamówionych Redakcja nie zwraca. Administracja: Katowice, ul. Młyńska 9, Wrocław, ul. Kościuszki 49, tel. 253. — Prenumerata mies. 60 zł, kwartalna 180 zł. Konto PKO III 4950. Ogłoszenia przyjmuje Sp. Wyd. „Czytelnik". Złożono i odbito w drukarni nr 9, Sp. Wydawn. „Czytelnik", Katowice 3 Maja 12. Tel. 309-73, wewn. 08

R 18303

Instytut Zachodni na nowych torach

Prof. dr Zygmunt Wojciechowski sprawuje kierownictwo Instytutu Zachodniego, którego filiami stały się także Instytutu Śląski i Instytut Mazurski. Ogromna ta instytucja naukowa z siedzibą w Poznaniu przeprowadzi liczne badania naukowe Ziem Odzyskanych, w swym planie wydawniczym uwzględni natomiast wszystkie zagadnienia Ziem Odzyskanych łącznie z zagadnieniami sąsiedzkimi.